

Przeciw „białym plamom”

Od kilku lat rozwija się na Rzeszowszczyźnie dynamiczna działalność wiejskich placówek kulturalnych i ośrodków oświaty dorosłych. Wzrosło poczucie odpowiedzialności za rozwój pracy k.o. wśród działaczy zawodowych instytucji z tego zakresu oraz wśród członków organizacji masowych jak: ZMW, Koła Rolnicze, Koła Gospodyń Wiejskich itp. Żywo i powszechnie rozwijająca się akcja czynów społecznych, w wyniku której powstają co roku dziesiątki wiejskich domów kultury, klubów, świetlic i czytelni — świadczy, iż na wsi współczesnej istnieje głód wiedzy, kulturalnej rozrywki i działalności artystycznej.

Praca kulturalno - oświatowa na wsi przybiera coraz nowocześniejsze i coraz bardziej atrakcyjne formy dzięki wciąż wzrastającemu oddziaływaniu prasy, radia, telewizji i teatru.

Ciągle jeszcze jednak sporo wsi i gromad pozostaje poza zasięgiem oddziaływania współczesnej kultury. Tam, gdzie istniały od lat tradycje i nawyki pracy tego typu, kontynuowanie i wzbogacenie działalności k.o. nie napotyka trudności. Obok nich, na mapie kulturalnej województwa występują „białe plamy”. W wielu miejscowościach żadna z placówek, instytucji czy organizacji nie prowadzi działalności wychowawczej i artystycznej.

W tej sytuacji Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Rzeszowie podjęło we wrześniu ubr. „Uchwałę o aktualnych zadaniach w działalności kulturalno - oświatowej na wsi”. Uchwała, zakładając, iż przy strukturze demograficznej Rzeszowszczyzny, główny wysiłek w rozwijaniu masowej pracy k.o. powinien być skierowany właśnie na wsie, osady i małe miasteczka — poddawała gruntownej analizie krytycznej dotychczasowe niedomogi i czynniki hamujące harmonijny rozwój kultury. Sformułowane w niej również postulaty i wnioski z analizy zmierzające do poprawy sytuacji. M. in. stwierdzono w uchwale, iż zbyt słabe na wsi jest dotąd czytelnictwo książek popularno - naukowych oraz fachowych pism rolniczych. Placówki zakładów pracy za mało uwagi poświęcają sprawom rozrywki kulturalnej dla swoich pracowników zamieszkałych na wsi. Konieczna jest pełniejsza niż dotąd koordynacja wysiłków i zamierzeń, a w ślad za nią koordynacja środków finansowych, wszystkich instytucji i organizacji zajmujących się kulturą na wsi. Należy dążyć do wytworzenia modelu placówki kompleksowej k.o. łączącej elementy pracy biblioteki, kina, klubu, świetlicy. Tylko taka placówka, umożliwiająca prowadzenie wielu form działania zapewni właściwy odpoczynek po pracy mieszkańcom wsi i możliwość pełnego wyżycia kulturalnego.

W ślad za tymi spostrzeżeniami szły w uchwale wnioski organizacyjne zabezpieczające realizowanie postulatów. Dotyczyły one powołania zespołów do spraw kultury przy Komitetach Powiatowych PZPR, nakładających obowiązek na rady narodowe i podległe im instytucje kulturalno - oświatowe pomagania placówkom wiejskim (instruktaż, dostarczanie materiału repertuarowego, filmów, płyt i taśm magnetofonowych, kierowanie do klubów i świetlic prelegentów itd.). Równocześnie, w myśl uchwały rady narodowej winny częściej obradować na sesjach nad sprawami kultury, a ich prezydium dokonywać okresowych ocen stanu pracy k.o. w powiatach.

Po niespełna roku od chwili podjęcia uchwały Wydział Propagandy KW PZPR w Rzeszowie przedłożył Egzekutywie KW informację o stopniu jej realizacji. Informacja mówi

o dużej ilości konferencji, narad, ocen i innych środków formalno-organizacyjnych zabezpieczających prawidłowe przeniesienie do podstawowych ogniw pracy k.o. i właściwą realizację uchwały. Nie to jednak jest najważniejsze. Z dokumentu dowiadujemy się, iż dotychczasową aktywność i spontaniczność działania kulturalnego na wsi zastąpiła praca planowana i systematyczna. Duże ożywienie zaobserwowano w związku z obchodami Tyśiąclecia Państwa Polskiego. Tyśiąclecie stało się okazją do masowych imprez, pokazów wiejskich zespołów artystycznych; zwiększyła się ilość odczytów, spotkań nawet we wsiach dotąd zaniedbanych w pracy polityczno-wychowawczej. Z tej samej okazji oddano również do użytku w województwie dziesiątki nowych placówek k.o., m. in. czytelni, klubów, świetlic, domów kultury i muzeów regionalnych. Liczy się także „białe plamy” na mapie kulturalnej. W czynach społecznych wzrosło w tej chwili około 100 obiektów, w tym, w około 50 wsiach nie przejawiających dotąd aktywności kulturalnej.

Z informacji dowiadujemy się, iż w większości powiatów działają poradnie instrukcyjno-metodyczne udzielające pomocy wiejskim placówkom k.o. Ze swej strony postulujemy jednak, by położony większy nacisk na dobór doświadczonych i w pełni kwalifikowanych kadr dla tych ośrodków oraz starać się o bogatsze wyposażenie w nowoczesny sprzęt audiowizualny, a wtedy pomoc ta będzie skuteczniejsza.

Nastąpił poważny wzrost form szkoleniowych z zakresu pracy k.o. W okresie jesienno-zimowym 1965/66 objęto około 500 osób ze środowiska wiejskiego różnymi postaciami doskonalenia. Na wyróżnienie zasługuje inicjatywa Przemysła, w któ-

rym zorganizowano 2-letnie Studium kulturalno-oświatowe dla słuchaczy SN-u.

O aktywnej działalności na wsi, w omawianym okresie, bibliotek powszechnych świadczy między innymi fakt, iż np. do końca ubr. zorganizowano 8 nowych bibliotek wiejskich, jedną gromadzką, 25 punktów bibliotecznych i 29 czytelni. Na 9664 imprez oświatowych zorganizowanych w ubr. przez biblioteki 7925 odbyło się na wsi.

Dalej informacja omawia osiągnięcia Domu Książki, rzeszowskiej Estrady, Teatru im. Wandy Siemaszkowej i Teatru „Kacperek” i POS-u stwierdzając, iż wszystkie te placówki częściej niż dotąd docierały na wieś poświęcając w swych programach wiele uwagi odbiorcy wiejskiemu.

Nie możemy wyliznąć tu wszystkich osiągnięć w pracy k.o. na wsi w ostatnim okresie — wzrost oddziaływania kulturalnego na wieś i wzrost aktywności kulturalnej samej wsi jest niewątpliwy i to należy zawdzięczać wspomnianej uchwale. Trudno po tak krótkim okresie dokonać pełnej oceny skutków uchwały na życie kulturalne województwa. Nie ulega jednak wątpliwości, iż kierunek działania jest słuszny i zaczyna przynosić coraz lepsze wyniki. Realizacja uchwały plenum KW przebiega prawidłowo. Ta nieefektywna, szara praca, pozornie rozproszona w setkach instytucji i działań realizowana z uporem i wytrwałością całymi latami zmienia oblicze Rzeszowszczyzny czyniąc ją regionem przodującym w dziedzinie kultury. Regionem o najaktywniejszym czytelnictwie i najbardziej dynamicznym amatorskim ruchu artystycznym. Warto to sobie uświadomić w przededniu Kongresu Kultury Polskiej i popularyzować ten kierunek polityki kulturalnej w całym kraju.

Bogdan Loebel

Mała litania

Jest wspięta na palce glina ściany
puknij w nią
opadnie na stopy

jest wyjąłowana z tętna dzień tyńcu
przyłóż swoją
zabije jej puls

jest zakrzepły w szybę piasek
spójrz przez nią
odzyska szelest

jest klepka z milczeniem pomiędzy słojami
sian na niej
odezwie się świerszcz

jest też miejsce na miłość
w pokrowcu chłodu.

Wynikanie

Wynikasz z gałęzi miasta
miętko
jak krew

tylko włosy masz twarde
jak woda

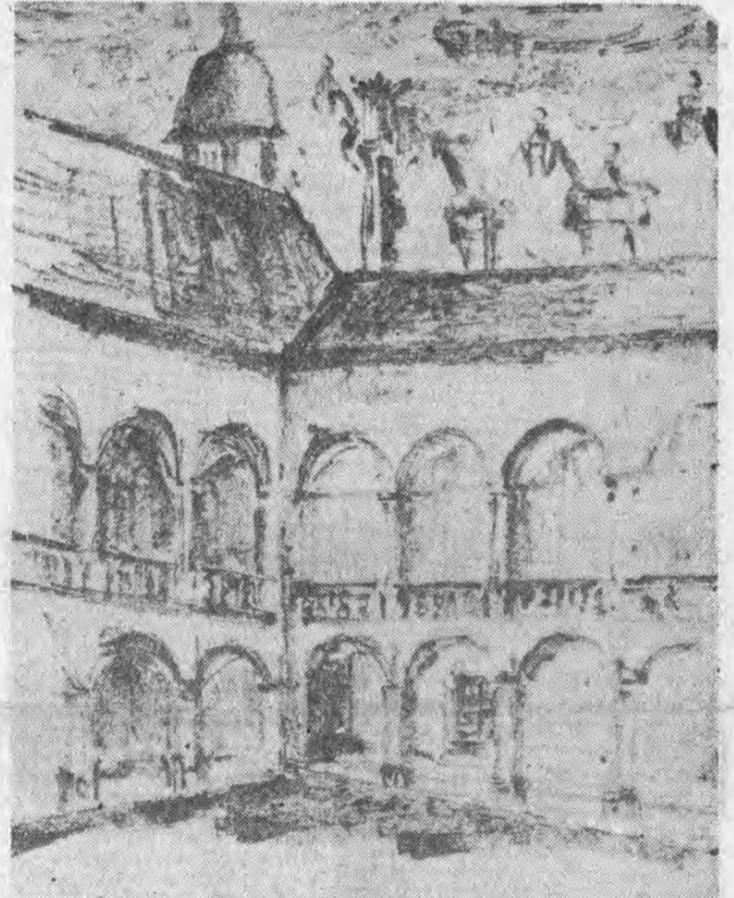
wynikasz z kory ściany
szorstko
jak tynek

tylko kolana masz gładkie
jak uglaskany szron

twojej skóry
którą wtapia we mnie
flesz przebudzenia.

Krystyna Świerczewska

Urodą swoją służy pracy



Dziedziniec zamku — rys. tuszem Maria Cichorzewska-Drabik.

Po burzliwych falach Morza Azowskiego „najpiękniejsza z głów słowiańsko-grecka” spoczęła w Muzeum Nieborowskim — niema, kusząca poetów tajemniczą przeszłością, zbyt piękna, by to opowiedzieć, swokująca trochę i jamby, budząca w Gałczyńskim dzikie przypuszczenie, że Dante nawet oszalał z zachwytu patrząc na nią w noc wenecką. Dziś urodą swą służy pracy — pięknie to doprawdy powiedział poeta. A my dodajmy, że nie ona jedna; że wiele w Polsce dzieł sztuki, które gromadziła ku uciesze oka arystokracja i wszystkie one dziś służą pracy. Ale czy aż w tym stopniu co zamek w Baranowie Sandomierskim — jego najnowsze dzieło najpełniej rzecz zilustrują.

Nie leży na najżywiej uczęszczanych trasach turystycznych. Nie ściąga tłumy wycieczkowiczów. Nie osiągnął popularności Łańcuta. A przecież ewokuje westchnienia znawców, że nie w Polsce piękniejszego, że on nie tylko zasłużył na miano małego Wawelu, ale od tegoż Wawelu doskonalszy. Haftowaną atyką ściany parawanowej lasi się chmurom, ludzi basztami, że kiedyś był zamkiem warownym, a wystrój urokliwego dziedzińca każe myśleć o mistrzach architektury włoskiej. Pięknie tu dziś, gdy maszkaronom zwrócono dawną świetność, gdy renesansowe portale, jakich w Polsce nie spotkasz za wiele, witają cię swoją doskonałą urodą, gdy pracownicy Pracowni Konserwatorskiej na Wawelu z pełnym sukcesem odnawiają polichromie i liczne sgraffita, a w wielkich salach jaskrawą bielą biją w oczy bogate fryzy i stiuki. Koło zamku, w haszczach kwitnie oses, dalej płynie Wisła, a małe miasteczko przycupnęło po boku brzydkie, ale typowe i takie, do jakich przywykliśmy w Polsce.

Przed 10 laty jednak było mniej pięknie — przynajmniej. Huczały gromy na miejscowe PGR, które „zagospodarowało” zamek w ten sposób, że zsypany doń zboże i produkty urodzajnej ziemi sandomierskiej, a maszkarony traciły powoli swe piekielne twarze, nie mogąc pa-

trzeć na ruinę małego Wawelu, który przez cztery wieki stał niewzruszenie na krańcach dzisiejszej Rzeszowszczyzny jako rezerwat piękna, wznoszony w trudzie przez ponad 3 dziesiątki lat dla rodziny panującej Leszczyńskich.

Wystarczyło nieudolności ostatnich właścicieli — rodziny Dolańskich, by opustoszały wnętrza komnat, by pałac zamienił się w szczerbatą ruinę, zdawało się — nie do wyniesienia na poziomy dawnej świetności.

Na szczęście — to się tylko zdawało. Nie pamiętam, kto pierwszy rozpoczął bój o Baranów; wiem jednak, że gromki głos Łapickiego z Polskiej Kroniki Filmowej, która to ubóstwo z odpowiednim komentarzem podsunęła nam przed 10 laty przed oczy, obudził uśpięone zainteresowanie perłą polskiego renesansu. I wtedy pewnie zaczęła się zupełnie osobliwa sprawa miazgu kultury z przemysłem; w Polsce na pewno precedensowa, kto wie, czy do dziś nie jedyna na taką skalę. Baranowem zainteresowała się Siarka. Zaczęto o nim mówić w Tar-nobrzegu i Machowie; znalazł się mecenas tak bogaty i mądry, że lepszego trudno byłoby życzyć i Wawelowi, gdyby, co nie daj Boże, znalazł się w podobnych opałach.

Porozumienie, które kazało Ministerstwu Kultury i Sztuki oddać Baranów w gestię Ministerstwu Chemicznemu, to porozumienie trwa do dziś. Nie wiem, ile papierów, podpisów i pieczęci rzecz wymagała — widzę jego efekt jedyny, ogromny, radosny dla tych, co biadali nad zamkiem — on sam, stanowiący dziś element krajobrazu aż nierzeczywisty: w pobliżu Machów i Piaseczno rozciągają przed wędrowcem pejzaż niemalże księżycowy, rozkopany kanałami, barwą ziemi, której wzdiera się polskie złoto, on sam —

Urodą swoją służy pracy



Zamek w Baranowie.

Fot. M. KOPEĆ

(Ciąg dalszy ze str. 1)

XVI-wieczna budowla pobliskująca na nowo wspaniałością murów.

W tym aliansie tradycji i nowoczesnego przemysłu, który ją nie tylko uznaje, ale przede wszystkim ocala, mieszczą się wszystkie pojęcia o planowej gospodarce, o gospodarce sensownej.

Najnowsza historia Baranowaznamku — to jednak nie wszystko. Bo, przynajmniej, nielawna byłaby jego sytuacja, kiedy już wiemy, że nie leży na znanych i uczęszczanych szlakach turystycznych: zostałby odbudowany, ale w naturalnej izolacji i w pewnym sensie byłby sztuką dla sztuki. Plany kombinatu siarkowego — gospodarza nie ograniczyły się tylko do odnowienia obiektu; nie po to zresztą wybudowano obok komfortowy hotelik, nie po to odrestaurowano w przyziemiu jadalnię o pięknych lukowych sklepieniach. Baranów już dziś jest miejscem narad i konferencji siarkowych; w najbliższym czasie będzie Muzeum Zagłębia Siarkowego, jedynym w Polsce zresztą.

Toteż kiedy rozmawiam z kustoszem baranowskim, który ścignął tu niedawno z Muzeum Narodowego w Krakowie, nawet nie dziwi mnie fakt, że jest on, jak i zresztą wszyscy inni, pracownikami kombinatu siarkowego, kierownikiem hotelu i całego ośrodka. Wydaje mi się, że w tej zjednoczonej działalności najłatwiej wytłumaczyć pojęcie koordynacji pracy kulturalnej — terminie tak modnym i jednocześnie tak opornie wprowadzanym w nasze życie.

Oczywiście, że w kilku salach reprezentacyjnych zamku znajdzie pomieszczenie stała ekspozycja artystyczno-historyczna, złożona z eksponatów z depozytu Muzeum Narodowego w Warszawie i Muzeum Wojska Polskiego (częściowo już gotowa — otwarcie w sierpniu 1966), oczywiście, że będą i inne tego typu wystawy, pomyślane jako imprezy czasowe, ale to, co będzie odróżniało Baranów od innych podobnych mu obiektów, to przede wszystkim owa ekspozycja archeologiczna pomieszczone w przyziemiu i gromadząca specjalistyczne eksponaty warstw kulturowych, występujących tylko w powiecie tarnobrzelskim.

Baranów ma przy tym ambicję stać się ośrodkiem promieniującej kulturą na całą okolice i już dziś

myśli się tu nad przygotowaniem odbiorcy, nad przyzwyczajaniem go do nowej roli pałacu. Bo właśnie tu narodziła się impreza oświatowa, obejmująca zakres historii sztuki i historii kultury polskiej; tu mają już za sobą pierwsze próby przyciągnięcia młodzieży poprzez zorganizowanie Koła Młodych Przyjaciół Sztuki w Liceum Tarnobrzelskim. O roli takiego ogniska na tym terenie pisać trzeba jako o wielkim nowum, jako o dobrej, pożytecznej inicjatywie.

Naturalnie, że Baranów jest w stanie przyjmować o wiele więcej turystów niż czyni to dziś; ale rzecz wymagałaby współpracy innych instytucji turystycznych, jak choćby „Orbisu” czy PTTK, wymagałaby opracowania wyczerpującej monografii, której się jeszcze w tym dwudziestolecu Baranów nie doczekał, wymagałaby wreszcie sensownej reklamy, z tym samym hukiem rozgłoszanej, co tragicznie dzieje Baranowa w roku 1956. I wydaje mi się, nie od rzeczy już dziś o tym pomyśleć, kiedy tak niewiele czasu nas dzieli od szerokiego otwarcia podwojów muzealnych. Niechże, jak powiadał Galczyński, służy pracy i ludziom w całej Polsce, bo chwalić się tym zabytkiem Rzeszowszczyzna powinna głośno i szeroko.

Przy księżycu nad Baranowem rozmawiałam z rzeszowskimi plastykami, dla których zgłowiła tu urokliwy plener Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych. Jeszcze jedna mądre pomyślana impreza znalazła tu swoje pomieszczenie. I pewnie niewiele rzeczy tak bardzo szokowało naszych twórców, jak pogodny krajobraz nadwiślański, w którym mieszkali, połączone ze światłem koparek, pasów transmisyjnych i niezwykłego kolorytu ziemi tarnobrzelskiej, w którym malowali swe pejzaże przy drgającym świetle przedpołudniowych godzin.

Wyjeżdżam z Baranowa, kiedy słońce łagodnie skrywa się za renesansową attyką i przypomina mi się wtedy z wielką natarczywością pierwszy wieczór tu spędzony, kiedy w sali telewizyjnej hoteliku Przełęcki z „Przebieżki” wiodł namiętny spór z Sieniawianką o stare zamczysko-ruinę, Porębiany, jako przysławie ognisko oświaty i pracy od podstawa w wolnej Polsce.

Signum temporis!

KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

Zdzisław Kozioł

ZAINTERESOWANIE opinii publicznej zawodem nauczycielskim jest chyba większe niż jakimkolwiek innym zawodem inteligentkim. Świadczą o tym chociażby liczne dyskusje, które dotyczą głównie społecznej funkcji nauczyciela, jego roli w szkole i poza nią, współzależności między zmieniającymi się warunkami a prestiżem tego zawodu.

Aktualność tej problematyki jest żywa nie tylko w Polsce, ale także w wysoko rozwiniętych państwach zachodnich i krajach „trzeciego świata”. Istotne dla oświaty i nauczyciela sprawy podejmowane są przez organizacje międzynarodowe, zwłaszcza UNESCO oraz OIT (Międzynarodowa Organizacja Pracy). Międzynarodowe Biuro Oświaty wskazuje na sytuację kryzysową w dziedzinie kadr pedagogicznych, która wyraża się w braku nauczycieli, co pociąga za sobą konieczność zatrudniania wykładowców niedostatecznie wykwalifikowanych.

Zawód nauczycielski, jak żaden inny, jest wysoce zróżnicowany; operowanie więc wspólnym mianownikiem prowadzi często do uproszczeń, szczególnie wówczas, gdy interesuje nas społeczna pozycja nauczyciela. Wśród blisko 300 tys. polskich nauczycieli są ludzie z doktoratami i średnim wykształceniem, jedni pracują w wioskach bez światła elektrycznego, inni w małych, dużych czy nowo powstających miastach przemysłowych, a każde z tych środowisk ma swoją specyfikę rzutującą na sytuację szkoły i pozycję nauczyciela. Różnice występują nawet w obrębie poszczególnych szkół np. w szkole zawodowej przedmiotów humanistycznych uczą — nazwijmy umownie — nauczyciele tradycyjni, przedmiotów zawodowych przeważnie inżynierowie z przemysłu, a zawodu w warsztatach szkolnych — robotnicy nie zawsze odpowiednio przygotowani do nowej funkcji. Wszyscy są nauczycielami, ale tworzą odrębne, nierzadko wzajemnie izolowane grupy.

Obraz zamazują dodatkowo różne stereotypy jeszcze z czasów przedwojennych czy też publikacje sprzed 10—15 lat, na które wielu nadal powołuje się, choć mają wartość wyłącznie historyczną. Zarysowują się jednak pewne tendencje i zjawiska dotyczące zawodu nauczycielskiego jako całości.

Prawie na całym świecie mówi się o spadku prestiżu nauczyciela, a opinie te rodzą się zwykle w środowiskach nauczycielskich. Generalny inspektor szkolnictwa UNESCO Jean Thomas jest zdania, iż zawód ten nie przyciąga już, jak dawniej, najbardziej zdolnej młodzieży; większość nauczycieli odnosi wrażenie, że zawód ich został zdeprecjonowany, zwłaszcza w porównaniu z korzyściami materialnymi i społecznymi, jakie przynoszą inne zawody.

Polscy nauczyciele, przynajmniej wielu z nich, pogląd ten podzielają. Skonfrontujmy tę opinię z wynikami badań socjologicznych. Szczególnie przydatne są badania polskich socjologów W. Wasołowskiego i A. Sarapaty, którzy uwzględnili trzy kryteria: „poważania”, „pewności pracy” oraz „korzyści materialnych”. Pierwsze kryterium dało nauczycielom trzecie miejsce po profesorze uniwersyteckiego i lekarzu; drugie kryterium — czwarte miejsce po lekarzu, profesorze oraz hutniku — robotniku wykwalifikowanym, natomiast z punktu widzenia korzyści materialnych, nauczyciel znalazł się na 22 pozycji.

Podobne wyniki przynosi wiele innych badań. Np. Jan Woskowski pisze, że 40 proc. badanych przez niego rodziców życzyło sobie, aby choć jedno z ich dzieci zostało nauczycielem, przy czym atrakcyjność tego zawodu jest większa wśród ludności wiejskiej niż miejskiej. Ci, którzy chcieli, by ich dzieci zostali nauczycielami twierdzili, że „praca nauczyciela jest piękna i pożyteczna”, „zawód nauczycielski uszlachetnia człowieka”, „stwarza gwarancję wczesnego usamodzielnienia się”, „zawód ciekawy, szczególnie odpowiedni dla dziewcząt” itp. Rodzice zaś, którzy nie chcieli, by ich dzieci zostały nauczycielami podkreślali trudny, wyczerpujący nerwowo charakter pracy oraz niedużo korzyści materialne.

Dodać warto, że blisko 35 proc. badanych przez Woskowskiego nauczycieli było skłonnych wybrać dla swych dzieci ten właśnie zawód, a 60 proc. stawiało go na pierwszym miejscu, przed wszystkimi innymi.

Tak więc nauczyciele cenią swój zawód, a równocześnie mówią o spadku jego prestiżu, co nie znajduje uzasadnienia w badaniach socjologicznych. Nasuwa się istotne pytanie: czy ocena ta jest wynikiem zastosowania tylko jednego kryterium, a mianowicie wysokości dochodu, czy też nauczyciele kierują się innymi motywami, mniej dostrzegalnymi dla postronnych? A może codzienny trud pracy dydak-

tyczno-wychowawczej nastraja ich pesymistycznie, tym bardziej że nie jeden z nauczycieli zdaje się być bezradnym wobec wielu zjawisk, które przynosi współczesność.

Co decyduje o autorytecie nauczyciela? Przede wszystkim jego praca i postawa. Sądzę, że tej tezy rozwijać nie potrzeba. W każdym indywidualnym przypadku, wiedzy pedagogicznej czy umiejętności oddziaływania na uczniów nie zastąpią wyrazy uznania dla zawodu jako całości, chociaż stosunek społeczeństwa wobec nauczyciela kształtuje się także pod wpływem polityki władz państwowych i partyjnych, które przy każdej okazji podnoszą jego znaczenie.

Ambitni i wrażliwi

Opinię o nauczycielach kształtują również środki masowej informacji. Nauczycielstwo, jak żaden inny zawód, ma z reguły dobrą prasę; krytyka dotyczy jedynie systemu oświaty, ewentualnie pewnych ogólniejszych zjawisk, a nie konkretnych ludzi czy szkół. Warto, aby studenci zakładów kształcenia nauczycieli podjęli takie tematy prac dyplomowych lub magisterskich, jak nauczyciel we współczesnej prasie czy literaturze, przy czym ten drugi byłby bezwzględnie ciekawszy. Wydaje mi się, że współczesna literatura kształtuje model nauczyciela tradycyjnie idealnego, ale są powieści, w tym także dla młodzieży, które pokazują go w świetle karykatury lub groteski. Nauczyciel zaś żywy, w konkretnych sytuacjach, zwłaszcza konfliktowych jest nader rzadkim bohaterem współczesnej prozy.

Zarówno laurkowe publikacje, jak i wzmiankowane książki świadczą, że uznanie dla zawodu nauczycielskiego nie jest tożsame z znajomością specyfiki pracy dydaktyczno-wychowawczej, jej głębi psychologicznej z licznymi konfliktami.

Wspomniałem, że o autorytecie konkretnego nauczyciela decyduje jego praca i postawa. Osobliście niepokoją mnie listy, jakie rodzice piszą do redakcji. Sprawdzając niejedną skargę, najczęściej bywają uzasadnione. Nie będę relacjonował szczegółów, nieważne w tym wypadku są przykłady. Niepokojąca jest jakaś bezradność organizacji nauczycielskich. Znam wypadek, gdy zważnionych nauczycieli usiłowali gościć przedstawiciele środowiska — mieszkający wsi.

Liczne skargi rodziców dotyczą poziomu nauczania; nie biorę tu oczywiście pod uwagę głosów zakochanych w swych dzieciach matek, jednoznacznie potępiam takie głosy ojca, który w obecności swojego syna, właściciela kolekcji 10 „dwój” na 12 przedmiotów, oświadcza: „Czy ci idzieci wyobrażają sobie, że mój syn jest głupszy od nich”. Chodziło o nauczycieli. To przejaw chamstwa i aynizmu, groźnego w skutkach nie tyle dla nauczycieli, co właśnie chłopca wychowującego się w atmosferze braku szacunku do ludzi i ordynarnego lenistwa.

Mówiąc o skargach rodziców na poziom nauczania, mam na uwadze wzrastające wymagania wobec szkoły. Skoro liczba kandydatów do liceów, techników i wyższych uczelni przewyższa, często dwukrotnie, jeśli nie więcej, liczbę miejsc, naukę może kontynuować uczeń najlepiej przygotowany. Mniej ważne stają się obecnie oceny na świadectwach; liczą się wyniki egzaminów wstępnych do szkoły wyższego szczebla.

Sądzę, że mają rację ci, którzy mówią nie o spadku prestiżu nau-

czyciela w ogóle, ale o spadku jego prestiżu jako eksperta. W jednej z rozpraw spotkałem się nawet z twierdzeniem o „degradacji intelektualnej” nauczyciela, w przeciwnieście do nauczyciela przedwojennego, który wykazywał się przeciętnie wyższym poziomem; słynna „nadprodukcja” inteligencji powodowała, że dla niejednego absolwenta uniwersytetu, atrakcyjna była wówczas posada nauczyciela, natomiast w dwudziestolecu powojennym, wielu — często ze względów materialnych — przeszło do innych zawodów.

Twierdzenie o „degradacji intelektualnej” wydaje mi się ryzykowne i nieprecyzyjne, ale na pewno konkurencja pozaszkolnych źródeł wiedzy oraz ogólny wzrost poziomu społeczeństwa, mierzony chociażby odsetkiem ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem, osłabia pozycję nauczyciela jako eksperta. Wylania się tu kwestia kształcenia kadr pedagogicznych. I w Polsce zawód ten nie przyciąga najbardziej zdolnej młodzieży, czego dowodem jest np. to, że przez lata zakłady kształcenia nauczycieli nie wykonywały w pierwszym terminie planu przyjęć; niejednokrotnie podejmowali w nich naukę ci, którzy nie zostali przyjęci do innych uczelni.

Ten nieco pesymistyczny obraz rozjaśnijmy odnotowaniem bardzo korzystnego zjawiska, jakim jest żywy wśród nauczycieli ruch na rzecz zdobywania wiedzy. Zaoczne zakłady kształcenia nauczycieli bez przesady pękają w szwach, chociaż warunki do kontynuowania studiów są nadal ciężkie: kłopoty z podręcznikami, przeciążenie pracą, nikłe ulgi itp.

Ponownie wylania się kwestia warunków pracy nauczyciela, który studiuje, uczy w godzinach nadliczbowych, a nierzadko podejmuje jeszcze dodatkowe zajęcia poza szkołą. To wszystko wpływa na efektywność nauczania; coraz lepszych zaś wyników domagają się rodzice, a także władze szkolne, które nie bez racji w sprawności szkół dostrzegają również problem ekonomiczny. Wystarczy wskazać, że drugorzędność w samych tylko szkołach podstawowych kosztuje skarb państwa 52 mln złotych rocznie, nie licząc strat pośrednich wynikających z późniejszego podjęcia pracy przez tę młodzież.

Nauczyciel — mówią podręczniki pedagogiki — jest centralną postacią w procesie dydaktyczno-wychowawczym, ale z niską sprawnością szkoły nie w każdym wypadku on ponosi odpowiedzialność. Zależy tu wiele od warunków lokalowych, wyposażenia, liczby uczniów w klasie, która często przekracza dopuszczalne normy... A problem dzieci upośledzonych? Nie mieszczą się one w szkołach specjalnych, uczęszczają do normalnych, obniżają wskaźniki promowanych, nastrożają sporo kłopotów wychowawczych.

W ostatnich latach sprawność szkół wzrosła, i co ciekawe, przeglądając statystyki w przekroju powiatowym dostrzega się właśnie ściśły związek między wynikami pracy szkół a bazą materialną oraz obsadą kadrową. Ale nauczyciele podkreślają, że niekiedy — wbrew nakazom etyki zawodowej — muszą stosować liberalniejsze kryteria ocen. Ingerowanie w ich wyłączne kompetencje, obok wielu innych negatywnych następstw, osłabia prestiż nauczyciela.

Wkraczamy w rozległą problematykę kierowania szkolnictwem. Temat to jednak zbyt obszerny, zasługujący na oddzielne potraktowanie. Wspomnę tylko, że praktyka zarządzania szkolnictwem stwarza mnóstwo sytuacji konfliktowych, których i tak codziennie nie szczeni nauczycielowi.

Czasami odnoszę wrażenie, że z wieloma sprawami nauczyciel lepiej radzi sobie w okresach wielkich konfliktów, chociaż za swoje zaangażowanie płać wysoką nieraz cenę. Mam na myśli okresy zmagania ideologicznych i politycznych. W ustabilizowanych warunkach niema wielkich konfliktów, natomiast codziennie przynosi inne trudności i problemy, tylko pozornie mało ważne. Od postawy nauczyciela wobec tych spraw w dużej mierze zależy jego autorytet moralny; cierpi on wówczas, gdy nauczyciel unika zajęcia stanowiska, kryje się za literą programu nauczania czy stronicami podręcznika...

„Sowietskaja Kultura” o Elżbiecie Czyżewskiej

W ciągu pięciu lat — 19 ról. Wiele jest przykładów, kiedy tak wysiłek prowadzi do zatarcia indywidualności, do sztampy, powtarzania się, rozmieniania talentu na drobne — pisze „Sowietskaja Kultura” o Elżbiecie Czyżewskiej. Autor podkreśla, że dzięki wybitnemu talentowi udało się tej aktorce uniknąć tych niebezpieczeństw.

Omawiając rolę Czyżewskiej, autor artykułu S. Georgiew podkreśla, że od postaci komediowych artystka przeszła do dramatycznych,

Cecylia Błomska

Tam gdzie dokonywał się KONIEC NASZEGO ŚWIATA

16 ubm., a więc w przeddzień niemal 27 rocznicy wybuchu wojny, „Nowiny Rzeszowskie” przyniosły wiadomość o tym, że Felenz morderca 12 tysięcy przemyskich Żydów, odpowiada przed sądem NRF w Kilonii.

24 lata minęło od tego strasznego lipca 1942 r. Plac przy ul. Iwaszkiewicza w Przemyslu, ostatni etap ofiar eksterminacji, ich miejsce pożegnania z miastem, które dla wielu było prakolebka, z którym od wieków związały swój byt, swój trud, swoje nadzieje i swoje życie, czynią dzisiaj przypomina obojęt-

Raz jeszcze kapitał w swej najbardziej zwyrodniałej formie znalazł tutaj zbrodniczą bazę „porozumienia”, gdy zamknięci w dzielnicy bogacze naiwnie uwierzyli, że eksterminacja obejmie nie ich, lecz biedaków.

W sukurs, o wieczna hańba tego czasu, Felenzowi, Müllerowi przysłała plutokracja, stanowiąca skład powołanego przez hitlerowców Judenratu — tzw. rady starszych, fikcyjnego samorządu w getcie, nie mającego uzasadnienia w żadnym ustawodawstwie. To skazani na śmierć bogacze postawili na tę straszną współpracę, przekonani, że chociaż zginą wszyscy, oni swoim majątkiem zdołają ostatecznie wykupić swoje głowy.

Prezes tej rady, pseudointeligentki kosmopolita Duldig, przed wybuchem wojny przyciągnął z Wiednia do Przemysła. Wyzuty z zasad obywatelskich, hulaka z miejsca rozpoczął życie na szeroka skalę. Pił z gestapowcami — pocieszał się naiwni — zdoła dla nas coś załatwić. W jego luksusowo urządzonej willi rozpoczęły się biesiady i orgie. On sam wtajemniczony przez Niemców w plany zbliżającej się zagłady, miast przestrożek, ostrzeżeń, wygłaszał do nieszczęśliwych skazańców gorące mowy, zachęcając ich do stawienia się na placach zbiórki, wzywając do bezwzględnego posłuszeństwa niemieckim rozkazom.

Były selekcje, budzące zgrozę gonitwy i błagania w Judenracie, który na rozkaz Felenza przeprowadzał oszukujące pieczętowanie roboczych kart. Bowiem zbrodniarze, precyzyjnie prowadząc swe ponure dzieło zniszczenia, nie chcieli dopuścić do spadku produkcji w warsztatach, w zagarniętych w mieście i okolicy fabrykach. Jedyną szansą na przedłużenie życia o kilka miesięcy, gdy każdy dzień stanowił bezcenną wygraną, była wysoko fachowa praca, świadectwo policyjki, że bezpłatny robotnik z getta, niewolnik, jest „niezastąpiony”.

Już wówczas podczas tych krótkich, letnich nocy, gdy świt jasny i słoneczny jak na urągawisko stawał nad skazaną dzielnicą o pierwszej nad ranem, gdy po jego uliczkach grasowali szpawacy, SS-owcy, gestapowcy, nierządki i granatowi policjanci, rabując, mordując, a udręczeni ludzie pragnęli ułać swój oddech, ściszyć bicie strwożonego serca, by jego głos nie przeniknął przez ścianę i nie zwałił oprawcy, rodziły się myśli buntu. Mówiono o tym, że mała pieczętka Sicherheitspolski jest łatwa do podrobienia, że można by się ratować, że trzeba próbować walki, że gdyby kilka tysięcy ludzi nawet bezbronych, z gołymi pięściami rzuciło się na Niemców...

Ale łomot kołby w drzwi, kulą przestrzeloną szybą, brutalne światło policyjnych latarek, oświetlających nędzne wnętrza i skulonych ludzi, krzyki, przekleństwa, huk strzałów, szybko tłumy u wygodzonych, osłabionych skazańców nikła myśl o odwecie.

Po tamtej stronie muru, w centrum miasta, na wielkim Zasianiu przygotowania, którym kieruje Felenz — oprócz nielicznych szumowin — budzą zgrozę, współczucie. Z polskich domów, skąd okupant pobrał już swój krwawy haracz i popędził do obozów ojców, braci, przemyca się do getta ostrzeżenie: „gdy nastanie upał, siedźcie w cieniu”. Upalnej nocy 27 lipca masowa zbrodnia spada na dzielnicę.

Do tego momentu historii drążącego sumienia, pamięć i świadomość, często wraca nasza literatura. „KONIEC NASZEGO ŚWIATA”, który tak wstrząsająco opisuje Hohaj, pogodnego lata 1942 roku dokonywał się w Przemyslu, dokonywał w setkach polskich miast, w obozach śmierci. Słońce przytępiło tłumy spędzone na placu, które otoczono kołczastym drutem, obstawiając bezbronych zbrojną po zęby policja, wojskiem. W okolicznych domach okna zamute czarnymi szmatami, zgodnie z rozkazem, zasłaniały przed ofiarami wszelki oddech życia, jak przed umarłymi. Spiekota dręczyła ich na przemian z rzeszystymi ulewami. Felenz obdarł ich jeszcze z ostatniej sztuki odzieży, a oni sami porzucali ubogie kubki na wodę, ze skrawków płótna uszyte woreczki na chleb. Oni już wiedzą, że wykluczone ich ze świata żywych. I wszędzie, jak w Przemyslu, szli potem jedni wspierając drugich, cicho i dumnie, bez jęków

i bez skarg. Młodzi, dla których rodzice tak niedawno jeszcze marzyli najpiękniejszą przyszłość, dziewczęta dorodne jak kwiaty, mężczyźni w sile wieku, starcy raz jeszcze niemymi zaklęciami próbujący wrzucić swego głuchego boga, szli do cuchnących wagonów; robotnicy i inteligenci, artyści i zwycajni wyrobownicy, rzemieślnicy — ich pracowitym rękami Przemysł przez wiele lat zawdzięczał rozwój swego rękodzieła; szli z podniesioną głową naukowcy, upstrzeni gwiazdami Dawida, którzy latami uczyli przemyską młodzież miłości ojczyzny, honoru, całe pokolenia rozkochali w urokach polskiej literatury, polskiego teatru. Szli na obstawiony policją dworzec ludzie, w których mieszkaniach, zagrabionych przez hitlerowców pozostało wiele pamiątek po dziadkach i pradziadkach, ryciny, wyblakłe fotografie, całe podręczniki historii, gdzie figurowali ich przodkowie jako uczestnicy powstań, jako żołnierze, którzy zawsze chwytali za broń, gdy wołała o to Polska — ich ojczyzna. Szli lekarze, kwiat przemyskiej inteligencji. Ich wiedzy i staraniom z największym zaufaniem powierzano swych najdroższych, ich przyjęcia z niecierpliwością oczekiwano na progę, gdy w domu były chore dzieci. Drobny krokmiem. szły dzieci, tak niewiadome, tak niewinne, tak tragiczne.

Jeśli będzie wam dane kiedyś rozmawiać ze starymi przemyskimi kolejarzami oni wam opowiedzą, jak kroczyli skazańcy, jak bez słowa skargi tłoczyli się w wagonach, jak stać ich było jeszcze na podniesienie ręki, na gest ostatniego pożegnania w stronę rodzinnego miasta.

A w opustoszałym getcie, gdzie jeszcze pozostali z odroczonego wyrokiem śmierci nieliczni fachowcy niezbędni w warsztatach; w stołówkach, w rezydencjach hitlerowców bezkarnie buszowali oprawcy „legalizując” dokonane ludobójstwo pieczętka przybitą na drzwiach opustoszałych mieszkań.

Gdy bezpośrednio po wyzwoleniu do Ameryki dotarły pamiętniki nielicznych ocalałych, tak jeszcze pulsujące cierpieniem i tak straszliwie smutne, w kraju businessu i prosperity odsuwano je z niesmakiem. Któż widział macić pogodny nastrój takimi wspomnieniami? I czy to w ogóle możliwe, żeby ci Niemcy tak przecież kulturalni!?

Proces Felenza odbywający się przed trybunałem NRF w Kilonii jest, jakże opóźnioną satysfakcją dla tych, którzy idąc na śmierć wierzyli, że kiedyś zapanuje sprawiedliwość. Czy Felenz otrzyma tam sprawiedliwy wyrok?

Czy śmierć jednego szubrawca, który o 24 lata przeżył tysięcy swych ofiar, stanowić może dla nich jakiś zadośćuczynienie? Te rozważania ogólniejszej natury można by skwitować smutnym stwierdzeniem, że ich nie już nie wskrzesi.

Ale w ich imieniu, ci którzy przeżyli wojnę i ci, którzy walczą przeciwko nowej jej groźbie, wielkim głosem domagać się muszą pełnej sprawiedliwości. Ludobójca, który cofnął dzieje świata w otchłań, otrzymał musi najsurowszy, najwyższy wymiar kary, ku przestrodze neohitlerowców, których coraz więcej jest w Niemczech zachodnich; gwoli ostrzeżenia dla ciemnych sił, prących świat do nowej wojny, że dla tych zbrodni nie ma zapomnienia, nie może być przebaczenia i nigdy, choć pokolenia przemina, nie będzie przedawnienia.

Felenz winien na ostatnie dni życia powrócić na miejsce swej zbrodni. Niech zobaczy Przemysł, niech znowu stanie na placu, gdzie sam skrupulatnie nadzorował, by skazańcom nie podano kropli wody, by nikt nie uszedł, gdzie pejemem bił bezbronne, stare kobiety. Niech otoczą go cienie tych, których przyzywamy na uroczyste apele. Wezwą ich żyjący. Rejestr ich nazwisk ocalała od zapomnienia stacja naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego w Przemyslu, gdzie z szczytnej inicjatywy skupionych w placówce wybitnych historyków z Przemysła i Rzeszowa, sporządzono wykaz ofiar tej ludobójczej zbrodni, oddając im należne miejsce w dziejach tysiącletniego miasta.

A potem niechaj na ostatnią drogę powiozą go w stronę Bełzca. Nie, nie w zamkniętym wagonie. Niech zobaczy kraj nasz piękny, kwitnący, życie, jakim przezżyliśmy ruiny, zagładę i śmierć.

Ostatni obraz, jaki zachowa pod powiekami, niechaj będzie mu dany stamtąd, gdzie dokonywał się KONIEC NASZEGO ŚWIATA.



o KULTURĘ powszechną — codzienną

Jerzy Kobryń — delegat województwa rzeszowskiego na Kongres Kultury Polskiej jest długoletnim dyrektorem administracyjnym Teatru im. Wandy Siemaszkowej, człowiekiem, który już w najmłodszych latach zapał bakcylią teatru. Zaczęła się ta pasja od pełnego grozy przedstawienia „Dzwonu zatopionego” Hauptmanna we Lwowie, kiedy to 6-letni podówczas miłośnik sceny przeżywał ponowne emocje, trzeba przyznać dość makabryczne i... ciągnęła przez następne lata — po dzień dzisiejszy. I być może, że „winne” tu świetne nazwiska twórców sceny lwowskiej, które przewijały się w naszej rozmowie bezustannie; być może spowodował tę namiętność kierownik literacki teatrów lwowskich Jedlicz-Kapuściński, przyjaciel Kobrynia i sprawca jego passe-partout na spektakle. Na pewno rozwinęły ją i pogłębiły pasje społecznikowskie Kobrynia — studenta prawa i zarazem żarliwego działacza Towarzystwa Szkoły Ludowej, który nie tylko dążył do rozwoju ruchu amatorskiego, ale sam w razie potrzeby stawał się scenografem czy aktorem.

Lata powojenne przyciągnęły Kobrynia w strony pełne skomplikowanej historii, zadrzańień, nazywane podówczas polskim dzikim zachodem — do Jeleniej Góry. I wtedy, po bez mała trzydziestoletniej działalności prawniczej Jerzy Kobryń zmienia zawód definitywnie już, na stałe. Oddelegowany przez władze partyjne organizuje wspólnie ze znaną aktorką sceny lwowskiej Orszą-Lukasiewicz teatr w Jeleniej Górze; wyprowadza go z odmetu spraw trudnych na pozycje placówki skupiającej ówczesne życie intelektualne. I zaraz potem, w roku 1955 przyjeżdża do Rzeszowa, by służyć swoim talentem organizacyjnym rzeszowskiej scenie. Na krótki czas przechodzi wprawdzie na to samo stanowisko do PPIE „Estrada”, w tym jej szczęśliwym okresie, kiedy „Julia”, czyli delikatnością uczuć zachwyca się cała Polska. „Okres estradowy” traktuje on jednak jako fazę przejściową w swoim zawodzie, bo jak sam dziś powiada, jest to przedsięwzięcie, w którym niewiele zmieniło się od niechwałebnych czasów „Artosu”; ustawione na niedobrych zasadach, prowadzące politykę nie tyle kulturalną, co merkantylną. Dlatego pewnie wraca po raz drugi obecnie do Teatru im. W. Siemaszkowej —

teatru, w którym prawdziwa sztuka winna triumfować.

To jest ten pierwszy stopień działalności Jerzego Kobrynia. Drugi, który staje się powoli niemalże zawodem — to jego nieprzerwana działalność w radach narodowych, o której powiada, że gdyby uznawała jubileusz — w przyszłym roku obchodziłby jej dwudziestolecie. Oczywiście, że interesują go tam sprawy związane z upowszechnieniem kultury i stąd jego nieustanne uczestnictwo w komisjach kultury, które doprowadza do wybrania go w 1958 na radnego MRN, a w 7 lat później na radnego WRN, kiedy to jednocześnie obejmuje zaszczytne stanowisko przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Kultury.

Jak widzi tę pracę? Jako codzienną orkę na ugorach kulturalnych, która wymaga maksimum wiedzy, doświadczenia i... poświęcenia.

Co go w niej pasjonuje najbardziej?

Te sprawy, które spędzają sen z powiek działaczom kulturalnym, jak zasadnicza z nich — koordynacja pociągnięcia kulturalnych, konieczność powiązania pracy kulturalnej z najgłębszym terenem (rzucą tu arcyważne hasło: znać doły!), nawoływanie do nawrotu do starych tradycji w twórczości amatorskiej, gdzie zdarzają się zbrodnie mordowania folkloru, próby „przetłumaczenia” go na język współczesny.

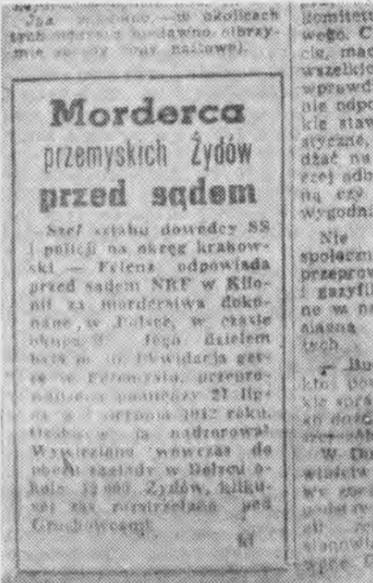
Jakie widzi wady w działalności kulturalnej samych działaczy kulturalnych, a tym samym czym siebie obciąża?

Po prostu dostrzegając wielkie osiągnięcia w zakresie twórczości, dostrzega jednocześnie niepokojący przejaw małego nią zainteresowania, braku wyrobionych nawyków kulturalnych, dysproporcje między twórczością, a odbiorcą, którymi nie chce obciążać społeczeństwa, bo rzecz byłaby nader łatwa i uproszczona.

Co, jego zdaniem, powinien dać Kongres Kultury Polskiej?

W każdym razie nie tylko ocenę naszego tysiącletniego dorobku, która zresztą jest bardzo potrzebna w roku milenijnym, ale przede wszystkim trwałe propozycje na przyszłość w zakresie upowszechnienia

(Ciąg dalszy na str. 6)



czyma przybyszowi dramat, jakiego był miejscem, zbrodnie przeciwko cywilnej ludności, jakiej przedtem nigdy nie notowała historia?

Domcy, przytulne willi dzielnicy Garbaze, w której hitlerowcy w lipcu 1941 r. zamknęli, potem murem obarawiali Żydów z całego miasta, obciążając naprzód z dobytek, dziś znowu rozbrzmiewają pogodną muzyką, na wieżach powiewają śnieżne firanki, w ogródkach wesoło baraszkują dzieci. Na zawsze umilkły głosy skazańców, płacze, słowa rozdzielających pożegnań i nieśmiałe błagania starców, by pozostawić ich w spokoju na reszcie życia, i zaklęcia matek, by bodaj dzieci próbowały ratunku, by o d w a z y y się nie iść na ten przeklęty plac ostatniej zbiórki... W tej części miasta na nowo zamieszkało szczęście.

Każdego września z najodleglejszych stron, a czasem i zza oceanu przybývają ludzie na skromny przemyski cmentarz, gdzie pomniki są symbolami mogił, a tylko marmurowe tablice, ziocone litery mają przypominać tych, których pochonięta hitlerowska zagłada. Od 27 lipca do 3 sierpnia 1942 roku 12 tysięcy ludzi zginęło wywiezionych stąd do Bełzca. Tylko kilkuset zagnało swojego szczęścia: została im oszczędzona ostatnia uroga bydlęcym wagonem, rozstrzelano ich w Grochowcach. Wiele lat potem opowiadał znany przemyski budowniczy, że dłu go jeszcze w snach widywał przerażone, szeroko otwarte, szkliste już martwość oczy ofiar wieszonych na miejsce egzekucji odkrytymi samochodami; tak transportowali swoje ofiary Niemcy, pewni ostatecznego zwycięstwa w tej wojnie.

Zanim straszliwe „akcje” zostały dokonane, zanim plac przy ul. Iwaszkiewicza stał się pobożowskim, na którym buszowały hitlerowskie hieny, wspierane przez głupich drabów z Baudienstu, szef sztabu dowódcy SS i policji na okręg krakowski Felenz, jego pomocnicy, Müller — opisy oprawca z przemyskiego gestapo, sprawca aresztowań nauczycieli, nieprzeleżany wróg wszelkich przejawów kultury polskiej, słowa polskiego, burmistrz miasta Krämer, puścili w ruch nikczemną machinę. Afisze, ogłoszenia, nakazy, wszystkie z tą samą klauzulą, iż nieposłuszeństwo grozi karą śmierci, wprowadzili do odcień murem dzielnicy nastrój zgrozy. Egzekucjom na bezbronych, nieuleczalnie chorych, których krwią czerwień się mur starych domów przy ul. Rokitniańskiej, towarzyszyła perfidna akcja wyniszczająca. Raz po raz obcinane głodowe porcje trocinowego chleba, zanizane racje zabieleney wody zwanej mlekiem, bandycki terror, rabunkowe kontrybucje trzymające dzielnicę pod strachem dniem i nocą, miały na celu całkowite uśpienie jakichkolwiek odruchów oporu.



PRZEMYŚL Foto: SAJDAK

Maria Cecylia Guziołek

ŚPIEWAJ piękny Wrocławiu!

Wrocław przypomina mi nieraz inteligentnego, hołubionego, ale nie rozkapryszanego podlotka, który co pewien czas musi coś wymyślać ku własnej radości i mu bliskich. Pomysł ma przepyszny i niecodzienny! Gdy je ujawni, widać, że całość przemyślał znakomicie i nawet z pewnym pietyzmem dla najdrobniejszych szczegółów. Ma fantazję i ambicję.

Patrząc na kalendarz imprez muzycznych w Polsce wydawało się, że wszystkie dziedziny ujęto już w naj-

go znalazł tu wdzięczny grunt do działania. Wszystkie te czynniki razem wzięte przy pełnym placecie i aktywnej pomocy władz miejscowych każą uwierzyć, iż rzeczywiście Wrocław, w niedługim czasie stanie się takim centrum muzycznym, o którym wiele będzie się mówić, a konkurować z nim bardzo trudno.

Tak optymistycznie na muzyczną przyszłość Wrocławia kazał również spojrzeć właśnie ten niecodzienny festiwal, nie doceniony przez środo-

gramu autorstwa wrocławskiego krytyka Ewy Kofin:

„Kontakt słuchacza z muzyką polega na odkrywaniu w niej uroków, delectowaniu się jej pięknem. Do uchwycenia piękna dochodzi się na własną rękę; melomani — profesjonalisci i melomani — dyletanci mają tutaj równe prawa. Wyniki zależą nie od wiedzy, lecz od stopnia uczulenia, od wrażliwości artystycznej słuchacza (...). Muzyka emanuje artystyzmem. Kto to odczuwa jest muzykalny”.

Ewa Kofin w innym miejscu pisze: „To jest podobno trudne. Tak trudne, że lepiej od razu pogodzić się z kompleksem dyletantyzmu i rozbrajać niezawodnym „niestety, ja się na tym nie znam”, niż uwierzyć w możliwości kontaktu. Nasz respekt wobec sztuki genialnej bywa tak doskonały, że aż paradoksalnie w trwodze o uchronienie artystycznego ideału przed profanacją izolujemy go atmosferą bezgranicznego kultu, który ostatecznie wszystkich nas od niego oddala. Uważamy za stosowne narzucić sobie rolę „maluczkich”, którym nie dane jest rozumieć”. Nieumiejętność tłumaczenia tych zjawisk wydaje nam się barierą zamykającą drogę do sztuki, tabliczką z napisem „NIEUPOWAŻNIANYM WSTĘP WZBRONIONY”.

Wróćmy do samych koncertów. Drugi odbył się w auli Uniwersytetu Wrocławskiego zwanej „Leopoldina” z autentycznym wystrojem barokowym. Atmosfera z miejsca wprowadza w nastrój wielkiej sztuki. Program: „Duma” — Anonymusa, aria kantatowa „Pragnę poznać jego imię” — J. S. Bacha, kantata „Orfeusz” — Pergolesiego, „Ego Mater” — Kobierkowicza, „Ojciec nasz” — Janacka i „Epitafium” — K. M. Góreckiego. Śpiewała Krystyna Szostek-Radkova i Halina Łukomska oraz Chór Kameralny Filharmonii Wrocławskiej pod dyr. A. Markowskiego. Utwory muzyczne wiodła słowem poetyckim m. in. Kochanowskiego, Krasieńskiego, Baczyńskiego — aktorka Anna Lutosławska. Nastrój tak rzadki, że tylko ogniki świateł kołyszą się od głębokich wzruszeniem oddechów zasłuchanych. Utwór Janacka stylizowany na prymityw białego śpiewu ludowego, podpartego harfą i organami — wstrząsa prostotą i czystością artystyczną. Natomiast Łukomska, która zachwycała swą sztuką wokalną największe ośrodki muzyczne Europy i słusznie podkreśla, że w pełni odpowiada jej tylko śpiew typu kantatowo-oratoryjnego, a opera jej psychice jest obca — raz jeszcze zabłysnęła swym genizmem.

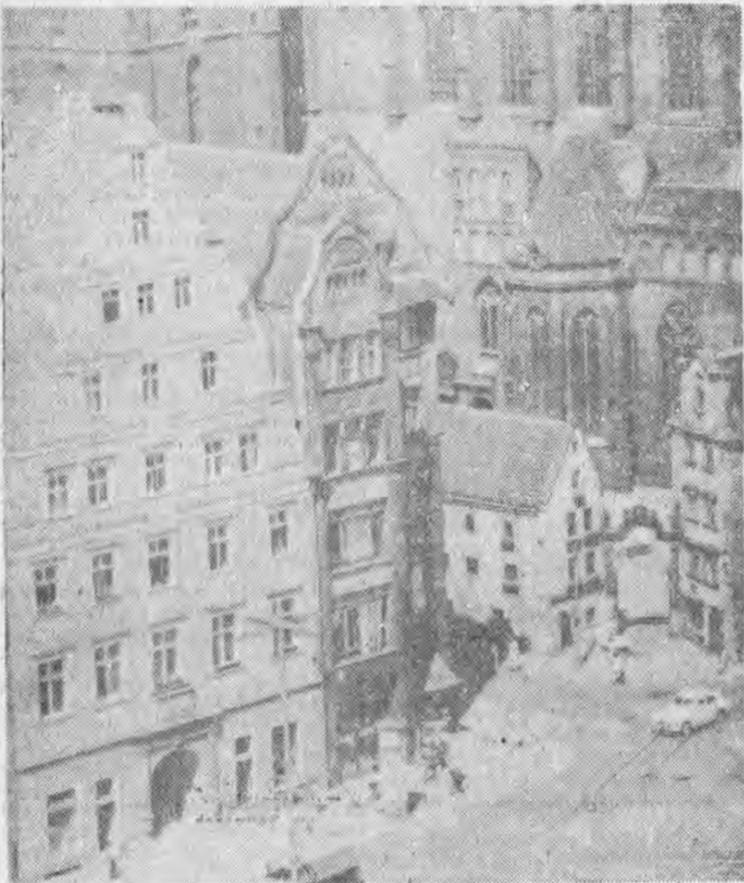
Capella Bydgostensis pro Musica Antiqua pod dyr. Stanisława Gałońskiego wraz z Zespołem Madrygalistów przedstawiła program muzyki włoskiej XVI, XVII wieku oraz Completorium G. G. Gorczyckiego. I ten koncert odbył się w „Leopoldinie”. Postępy w stylizowaniu się interpretacyjnym zespołu są tak znaczne, że warto znów pomyśleć o występie bydgoskich muzyków na naszym majowym spotkaniu muzycznym w Łancucie. Na szczególną uwagę zasłużyła Alicja Pagowska, której głos i intuicja artystyczna jest niezawodna, wyróżnia się w tym i tak już świetnym zespole.

No i kilka słów o koncercie zamykającym I Festiwal Kantatowo-Oratoryjny „Śpiewający Wrocław”. Koncert „Dźwięk i światło” zorganizowany po raz pierwszy w Polsce, odbył się w Muzeum Architektury, goszczącym w budynku poklasztornym z XVI w. Przygotował go Wiesław Rembieleński, młody wrocławianin, scenografię opracował M. Zdanowicz.

Utwory: Diphongos — W. Kilara, Matera — A. Markowskiego, „Wymiary czasu i ciszy” — K. Pendereckiego, Improwizacje — B. Szabelskiego, Wyznania — W. Szalonka i Demeter — K. Szymanowskiego z taśm magnetofonowych stereofonicznych ilustrowały malarstwo, rzeźbę, ceramikę, wnętrza. Godzina 23! Wrażenie niezapomniane, efekty jedyne w swoim rodzaju! Każdy utwór wykonano w innym wnętrzu: refektarzu, zamkniętych krużgankach i na klasztornym dziedzińcu. Koszt przygotowania tylko 40 tys. zł, a więc tyle, ile kosztuje przeciętny koncert zespołu symfonicznego wraz z solistami.

Przenieście się w swej fantazji w mury starego klasztoru i pomyślcie o nowej muzyce i współczesnym malarstwie, kwiatkach, drzewach i niebie wyskrzonym gwiazdami... To bajka? Nie! Koncert.

Temu festiwalowi można życzyć, tylko, aby się rozwijał i rozkwitał. Śpiewaj więc tak dalej piękny Wrocławiu!



W zabytkowym Kościele Garni z XIV wieku odbywały się koncerty, którym przysłuchiwało się 3—5 tys. osób. Na zdjęciu: widok z lotu ptaka.

bardziej różniące ramy „Dni”, „Spotkań”, Festiwali, Konkursów... młodzieńcy Wrocław z właściwą sobie bystrością w misternie utkanej sieci spostrzegł brak ognia, które ujmują jej bezcenne, szlachetne blasku: muzyki oratoryjnej i kontaktowej, coraz rzadziej uprawianej, mającej jednak ogromną wielowiekową tradycję i przebogata literaturę. Repertuaru starzy na lata i jest tak piękny, że należy uratować przed zapomnieniem, od którego stoi właściwie tuż, tuż...

I tak zrodził się pomysł festiwalu pod wymowną i prostą jak sama ta muzyka nazwą: „Śpiewający Wrocław”. Zorganizowano go w pełni sezonu urlopowo-wakacyjnego, w dniach 14—18 sierpnia br. Ale cóż znaczą dni letniego lenistwa dla dobijającej do pół miliona mieszkańców stolicy Dolnego Śląska? Okazało się, że nie. Wszystkie miejsca, gdzie organizowano koncerty festiwalowe, a było ich cztery: nowoczesna sala koncertowa Rozgłośni Radiowej i TV, zabytkowy Kościół Garnizonowy, kameralna, pełna sztuki baroku aula Uniwersytetu i urokliwe wnętrza Muzeum Architektury — nie mogły pomieścić tłumów chętnych posłuchania „specyficznych” dzieł zwanych oratoriami i kantatami.

Na temat umuzykalnienia Wrocławia zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że miasto jest poważnym ośrodkiem muzycznym w kraju i ma szansę zostać przodującym; inni — o muzyce we Wrocławiu można mówić od niedawna, od niepełnego roku, dobrych kilku miesięcy.

— Jak jest naprawdę?

Na podstawie frekwencji i reakcji publiczności na muzykę nie można nie zauważyć jej ogromnego osłuchania i wrażliwości. Taką postawę przeciętnych słuchaczy można uzyskać tylko przez wieloletnie, systematyczne wychowanie. 500 „Wtorków muzycznych”, rzadkie (bo tylko dwa razy w miesiącu) koncerty symfoniczne Filharmonii Wrocławskiej, praca Opery i Operetki — cała ta działalność artystyczna placówek muzycznych dziś owocuje. Indywidualny, pełen inwencji twórczej talent organizatorski znakomitego muzyka, od niedawna dyrektora i kierownika artystycznego Filharmonii Andrzeja Markowskie-

wisko krytyków i prasę krajową. (A może źródła „niedoceny” należy szukać tylko w okresie wakacyjnym?)

Wrocław przygotował się do festiwalu znakomicie. Stylowe afisze projektu miejscowego artysty plastyka Tadeusza Ciałowicza, utrzymane w atmosferze muzyki dawnej, z wysmakowanym literacizmem, motywami i notacją muzyczną obowiązującą w XII wieku, dekoracje wokół miejsc koncertów „Wratislavia cantans” przykuwały uwagę przechodniów i musiały przyciągnąć na pierwszą, drugą imprezę, a później trudno było się oprzeć urokowi dalszych programów.

Drukowany program, utrzymany w tym samym archaizującym opracowaniu graficznym, o nakładzie 1000 egzemplarzy rozszedł się błyskawicznie. Słuchacze późniejszych koncertów musieli zadowolić się pięknymi folderami, zawierającymi spis koncertów i esencjonalne wprowadzenie w tradycję muzyczne grodu.

Program Festiwalu „Wratislavia cantans” obejmował 7 koncertów w wykonaniu takich znakomitości polskiej wokalistyki jak: Halina Łukomska, Krystyna Szostek-Radkova, Halina Słonicka, Krystyna Szczyńska, Hanna Rumowska, Zdzisław Niekodem, Władysław Malczewski, Jerzy Artysz. Jako dyrygenti wystąpili: inicjator Festiwalu Andrzej Markowski oraz Jerzy Gert z Krakowa, Roman Kuklewicz z Warszawy, Stanisław Gałoński z Bydgoszczy, Edmund Kajdasz z Wrocławia i ich zespoły. Oto nazwiska, które sprawdziły się w naszym życiu muzycznym i gwarantują wysoką, jeżeli już nie powiedziane najwyższą jakością sztuki interpretacyjnej i odtwórczej.

Wykonano dzieła od Marcina Mielczewskiego, Bartłomieja Pękiela, od Claudia Monteverdiego i Antoniego Vivaldi przez Mozarta do uznanych, współczesnych nam kompozytorów: Pendereckiego, Szabelskiego, Kilara, Markowskiego i innych.

W moich refleksjach zwrócić uwagę na trzy koncerty, które mnie szczególnie urzekły. Wszystkie były piękne prócz popołudnia pt. „Wschód w muzyce i poezji”, na który tak bardzo się cieszyłam. Przedtem jednak miał wstęp z pro-

Tadeusz Zygmunt Bednarski

Impresje z Bieszczadów

„Moda” na Bieszczady rozpoczęła się w 1952 roku. Pierwszy, powojenny przewodnik po tej okolicy pióra Mieczysława Orłowicza (wyd. „Sport i Turystyka”, W-wa, 1954) podawał, iż w 1953 roku, z inicjatywy sekcji turystyki górskiej PTTK, wyznakowano główny bieszczadzki szlak i wycięto gestwinę krzewów, wytyczając ścieżki w partiach leśnych. Od tego czasu na temat Bieszczadów wypisano „morze atramentu”. Góry Rzeszowszczyzny stały się tematem licznych reportaży dziennikarskich i fotograficznych, wkroczyły do albumów, doczekały się solidnych opracowań speców od turystyki.

Zapomniane źródło

Wśród opracowań są także sięgające do źródeł dawniejszych, dziś już zapomnianych. Takim właśnie jest przewodnik Władysława Krygowskiego. Ostatnie, poprawione i uzupełnione wydanie tego turystycznego podręcznika, obejmujące prawie 200 stron, uwzględnia 52 pozycje „najważniejszej literatury”. Między nimi jest kilka prac z połowy ubiegłego stulecia. Obok opracowań W. Pola, Krygowski korzystał np. z monografii A. Stadnickiego pt. „O wsiach, tak zwanych włołoskich na północnym stoku Karpat” (Lwów, 1848). Szkoda jednak, że w przedstawionym zestawie zabrakło — równocześnie wydanej z pracą Stadnickiego — niezwykle charakterystycznej rozprawy Ludwika Zeisnera pt. „Podróże po Bieskidach, czyli opisanie części gór karpaccich, zawartych między źródłami Wisły i Sanu”.

W poważnej rozprawie, naukowiec ponosił turystyczną pasję. Jest tam kilka akapitów — dotyczących Bieszczadów — które posiadają charakter reportaży, nie pozbawiony literackiej lekkości. Nie ma tu nużącego wykładu, ale są świeże uwagi zachwyconego i bystrogo turysty, dostrzegającego i bogactwo flory i fauny, i różnicowanie terenu, i ludzi z ich zwyczajami. Przypomnijmy choćby tylko fragmenty uwag podróżnika po Rzeszowszczyźnie, który omawia ze stanowiska topograficznego, geologicznego, a nawet historycznego Zagorzany i Krosno, Duklę, Iwoniecz i Rymanów, Gorlice i Żmigród. Oddajmy głos autorowi. A więc...

...o lasach i połoninach

„Nierównie niższe są Bieskidy w środku, poza Tatrami, w okolicach Gorlic i Żmigrodu, a za tym niższym idzie nieco znaczniejsza wyżność; w końcu wschodnim pod Sanokiem znowu się znakomicie pod-

wyższają góry, a stąd okolica staje się coraz dziksza... Na wschód i południe (od Sanoka — przyp. TZB) kraj staje się nader górzystym, uprawne role gina, tylko lasy przeważają, wyjątek z tego czyni miasteczko Bukowiko, dwie mile od Piarowic odległe, oparte o długie grzbiety zupełnie nagie, tak że nawet krzak na nich nie widać. Wyraźnie zmienia się tutaj postać kraju; gina owe żyzne lany, żyto zastępuje owies, wioski przybierają wejście górskie. Zamierzając udać się do Baligrodu, przebyliśmy potężne grzbiety i głębokie doliny, które piękne, a śmiały postawy lud zamieszkuje. Pół mili za Baligrodem kraj staje się w najwyższym stopniu dziki, tak że go nie mogą porównać z żadnym znajomym w Europie. Półtargane góry okrywają dziewicze lasy, rozpościerające się tak na szczytach wierzchów, jako i po równinach; przeważają w nich jodły i świerki towarzyszą obok siebie roszące, buki zaś — w wielkie kupy zebrane — bywają oddzielone, wyjątkowo, i to na granicach zetknięcia, mieszają się te dwa gatunki drzew. Właściwy charakter tych lasów pochodzi od nader bujnej roślinności; niezmiernie wielkości świerki mają pospolicie sążeń w średnicy, a nawet półtora i więcej. Pod tymi potężnymi drzewami wznosi się niższy las, składający się z drzew znacznie grubych. Spoglądając z dala na te odwieczne bory, wydaje się jakby się wynosił las z nad lasu. Głym te strony zwiadał w sierpniu, a zatem w późniejszej porze, znajdowałbym mnóstwo pięknych kwiatów z barwą niespotykanej żywości. Bogatszej i zarazem bujniejszej roślinności trudno sobie wystawić w naszym umiarkowanym pasie. Te potężne drzewa są prawdziwą ozdobą tych stron, na które nikt nie zwraca uwagi i trwają tak długo, dopóki je burza nie zwali. Przy wiosce Kołonicie najwięcej spotykałem trudności po lasach od niezmiernych, poprzewalanych pni; często trzeba je było wymijać i daleko obchodzić, nawet butwiejące stawały, jeszcze zapory, wyrasta z nich bowiem mnóstwo krzaków i bujnych ziół uginających się pod nogami i kroku stawić nie można bezpiecznie...”

Wśród zwierząt i ludzi

„Wśród tych bujnych lasów żyje mnóstwo rozmaitego ptactwa i zwierzy — ciętrzewie i jarząbki są nader pospolite, sarny licznie żyją po lasach mało co płożone, (...) są tutaj nierzadko jelenie, dziki i niedźwiedzie. W żadnej okolicy nie znajdowałem tylu węzów na polach...”



Urania — fragment iluzjonistycznego malarstwa sufitu auli „Leopoldina”.

anno 1848

Już wyżej wspomniany Zeisner o tubylcach „pięknej i śmiałej postawy”. Pisał też o znaczeniu jodu i wód słonych dla mieszkańców tej strony „Bieskidów”. Wymieniając te produkty mineralne, zrobił również uwagę o „oleju skalnym, nadającym skórze w czasie kąpienia szczególną gładkość”. Powracając teraz do impresji o ludności, Zeisner tak kontynuował swe dostrzeżenia:

„W tych głębokich dolinach, wysokimi górami od reszty świata przedzielonych, mieszkają nader zabobonni górale Rusini; lud ten silnej budowy ciała, mało co jest umysłowo rozwinięty i ten brak oświaty najlepiej odbija się w ich sposobie życia i zatrudnienia. Koni po nadzwyczajnie kamienistych drogach nie można używać, zastępują ich więc woły, które zaprzęgają do ciężkich, niezgrabnych wozów, do których nie używają żelaza, a nadto osi nie smarują. Już z dala słychać zblizające się te wozy, po niemylim, skrzypiącym głosie. Jakaż tu przepaść jest pomiędzy wydoskonalonymi środkami, ułatwiającymi przenoszenie się w krajach ucywilizowanych, a tymi drogami karpackimi...”

Kim był autor?

Zarówno historykom nauk przyrodniczych, jak i historykom turystyki i wreszcie badaczom kronik kryminalnych nazwisko Ludwika Zeisnera jest szeroko znane. Był on bowiem wybitnym naukowcem w dziedzinie geologii i mineralogii, jednym z pierwszych zapalnych taterników, którego imię nosiło pierwsze schronisko w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, wreszcie stał się ofiarą ohydnej zbrodni, która 3 stycznia 1871 r. przecięła jego pracowity żywot. Uporządkujmy fakty curriculum vitae autora przedstawionych wyżej impresji bieszczadzkiej.

Ludwik Zeisner urodził się w 1805 r. w Warszawie, jako syn wybitnego farmaceuty — Karola. W Warszawie też, ukończywszy szkoły, wstąpił na wydział filozoficzny. Dalsze studia kontynuował od 1824 r. najpierw w Berlinie, później w Getyndze, gdzie uzyskał doktorat. Jako młodzieńki naukowiec w 1829 r. objął katedrę mineralogii na Wszechnicy Jagiellońskiej, „prowadząc na swe zajęcia zwyczaj odbywania ćwiczeń w terenie. Chodził po Bieskidach, Tatrach, Pieninach, ska-

kach jury krakowsko-częstochowskiej. Badania swoje rozszerzał poza geologię, interesując się etnografią, co nietrudno zauważyć choćby tylko na podstawie wspomnień z Bieszczadów. Zainteresowaniami wkraczał także w dziedzinę historii. Henryk Barycz w swych studiach pt. „Wśród gawędziarzy, pamiętnikarzy i uczonych galicyjskich” (Wydawnictwo Literackie — Kraków 1963) przypomniał, iż Zeisner „podejmując w r. 1830 wycieczkę w Tatry Zachodnie i Liptowski zobowiązał się (dla Lelewela — przyp. TZB) oznaczyć południowe granice monarchii Bolesława Chrobrego”. Po czterech latach pracy pedagogicznej, od 1833 do 1837 r. pełnił obowiązki dyrektora górnictwa Rzeczypospolitej Krakowskiej. Od jesieni 1848 r. po-



Ludwik Zeisner. (Reprodukcja wg „Tygodnika Ilustrowanego” nr 161 z 1871 r.).

nownie objął katedrę na uniwersytecie krakowskim. Ten okres pracy Zeisnera omówił Fryderyk Hechel w pamiętnikach pt. „Kraków i ziemia krakowska w okresie Wiosny Ludów” (Ossolineum — Wrocław 1959). Kiedy jednak w Galicji nastąpiła fala germanizacyjna po okresie swobod użyżanych podczas Wiosny Ludów i nastąpiła konieczność prowadzenia zajęć uniwersyteckich w języku niemieckim, Zeisner przeniósł się w 1857 r. do Warszawy. Pracował tam zrazu w Akademii Medyko-Chirurgicznej, później przeszedł do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, wreszcie do Komisji Skarbu Królestwa Polskiego w Wydziale Górnictwa. Po powstaniu 1863 r. został zwolniony z carskiej służby i wrócił do Krakowa. To w Krakowie w swym mieszkaniu przy ul. Brackiej został uduszony przez nowo przyjętego na służbę lokaja. Historię tego zabójstwa interesująco przedstawił Janusz Szwaja w „Pitavalu krakowskim” (Wydawnictwo Prawnicze — Warszawa 1962). Takie były koleje życia wielkiego naukowca i zapalonego turysty, który w 1848 r. ogłosił swe impresje z podróży po górach Rzeszowszczyzny, a które po niemal 120 latach we fragmentach niniejszym przypominamy.

TADEUSZ ZYGMUNT BEDNARSKI

*) Ludwik Zeisner: Podróże po Bieskidach..., Biblioteka Warszawska 1846, t. III, Lipiec s. 96—145, Sierpień s. 371—399, Wrzesień s. 476—531.

KIEDY mi udowodniono, że Ruda Helka, wdowa po kominiarzu, jest moją kochanką, długo się dziwiłem, a potem dałem spokój. Dowody miało niezbite.

Właśnie niski i krępy (mówiono: brzuchaty), właśnie z brodą uciekał przez ogród wdziewając między grządkami rozchełstana koszulę. Wszystko pasowało, jestem niski, krępy (od biedy można powiedzieć: brzuchaty), od dwu lat noszę brodę, a od roku piękny szary sweter — podarunek żony, jej własna robota.

— Przepraszam — rzekłem — czy Ruda Helka jest naprawdę ruda, czy tylko tak...

— Nie udawaj. Nie wykreśisz się. Artysty to ty nigdy nie byłeś, a tylko stale nagłym zastępstwem.

— Ależ kochani, ja nawet nie wiem, gdzie jest ta ulica Drewniana.

Nie dali mi dokończyć. Zaczęli się śmiać, a ja stałem wśród nich rozszochany i coraz mocniej zatrzwożony.

— Wyrzucę — myślałem — już jednego niedawno wyrzucili. Też mieli dowody.

Mnie jednak nie wyrzucili. Zagrozili nagana, jeżeli jeszcze raz zobaczy mnie ktoś w pobliżu domu Rudej Helki.

— Dobrze, że się tylko na tym skończyło — pomyślałem. — Trzeba będzie dowiedzieć się, gdzie jest ta ulica Drewniana.

— Za parkiem — odpowiedział mi żyłkiwy. — Ojej, już półtora roku tutaj mieszkasz i nie wiesz gdzie Drewniana?

Siadłem w kawiarni przy stoliku. Racja, było pełno gości, ale czemu ten rudiulec upodobał sobie mój stół?

— Przepraszam, czy wolne?

Aż mnie zatkało. Zamachałem rękami, o mialo oznaczać... o, właściwie nieważne co miało oznaczać, bo rudiulec odsunął krzeselko, usiadł, zadął nogę na nogę, otworzył torbę, sięgnął po papierosa i z bezczelną natarczywością począł się upatrywać w moje zapalki.

Nie wytrzymałem. Zerwałem się, bąknąłem „przepraszam” i już w drzwiach doleciał mnie szep: „wychowanie”...

To chyba Ruda. Ta z Drewnianej. Helka. A przecież nie jestem tchórzem.

Rzeczywiście, uciekałem. Uciekałem, uciekałem przed kobietą. Chciał nie, nie przed kobietą, lecz przed czymś, co było groźniejsze. Było niewiadomą, w której kobiecie stanowiła punkt zaczepienia i stawała się treścią oskarżeń tym bzdurniejszych, że nie można było udowodnić swej niewinności.

Jak to śmiesznie brzmi: niewinność. A przecież w procesie przechodzących dni „wczorajsi” pretekst traktowali jak niezbito dowody.

Mogłem po tysiącokroć pytać: „Kto mówił, kto widział”. Odpowiadali: „Cate miasto” i po pewnym czasie rzeczywiście miasto mówiło, wierzło i... co drugi widział.

Dlatego uciekałem przed rudiulem i było mi wstyd. Bałem się miasta.

Chodziłem teraz po tych samych ulicach, którymi przechodziłem codziennie, ostrożnie, delikatnie. Stałem przed wystawami, zerkalem w prawo i w lewo. Myślałem: ten mnie widzi i ten, i ten. Czytałem każdą tabliczkę z nazwą ulicy, a kiedy zdarzyło się, że idąc na przelaj podwórkami wchodziłem w jakąś nieznaną ulicę, biegłem ku skrzyżowaniu i oddychałem z ulgą: Malmeda, Sienkiewicza, Warszawska.

Może zapomniabym. Może minąłby uraz Rudej Helki, gdyby nie towarzyskie, niemal przyjacielskie od czasu do czasu:

— No i jak tam ulica Drewniana? Następowo poklepywałem po ramieniu. — Możemy ja tak dostać adres tej wdówki?

Znowu chowałem się w siebie, jak winniczek w skorupkę.

Jezus Maria — właściwie o co chodziło. O jakąś głupią plotkę wymyśloną przy kawie w Empiku przez nudzących się przyjaciół. Tutaj nowe niepokoje w Laosie, tam znowu łunnik IV szybuje obok księżycy i cały świat dowiaduje się o nowym wyczynie astronautyki radzieckiej, żona zamartwia się brakiem pieniędzy, a mnie nie z tych rzeczy nie obchodzi. Ja buduję ulicę... ulicę Drewnianą?

Nie śmieciecie się. Naprawdę buduję.

Nie potrzebuję zamykać oczu, a zjawia się przede mną jednopiętrowy domek, naturalnie drewniany. Deski malowane przed laty, może przed drugą wojną światową, na brązowo, straszą latami dziur. Na parterze od ulicy jedno okno z lewej strony ganku zgaszone i zabite na wieki. Okno z prawej strony mruga do mnie od czasu do czasu kiwającym się łufcikiem. Znak, że panna Elwira pichci jajecznicę dla babki i wywar z lipowego kwiatu. Dziadek, mimo swych osiemdziesią-

ciu trzech lat sam sobie gotował grysk na szynce. Rządsko zwlekła się z wielkimi, wysianego pościelą łóżka siwutienka babka. Reumatyczne bóle nóg i rozleniwienie właściwe jej wiekowi kładły ją na długie tygodnie.

Do dziadków wchodziło się od frontu. Kiedy miałem ogródek, w którym urzędował staruszek, prostował grzbiet znad cebuli, albo marchwi, uśmiechał się do mnie. Zamienialiśmy kilka słów o pogodzie, urodzajach, suszy. Czułem, że lubi mnie.

Był towarzyski, towarzysko podobiał. Tylko od czasu do czasu wybuchal i wtedy jego grube, gardłowe bulgotanie mieszało się z pikliwym dyszkantem babki.

Tadeusz Sokół

Drewniana ulica

Przyszanam, kłóciłem się nieczęsto. Ale jak już zaczęli, milka ulica. Wymyślił sobie bez opamiętania. Zyczyli sobie nawzajem dżumy, cholery, śmierci nagłej a niespodziewanej. Albo też w zupełnym zapomnieniu padały słowa: „A żebyś spokojnej starości nie doczekał”. Przez dzień, dwa, po takich kłótniach słychać było żalosne pojękiwania babuli i pomruk zważszego niż zwykle dziadka. Później wszystko wracało do normy. Babka zwlekła się z łóżka. Zmieniano albo wietrzono pościel. A w kuchni gotowały się koldunki litewskie po białorusku. Już w nocy napchane smakowitością żoładki staruszków buntowały się i jęki rozchorowanych przebijały powale, nieustannie budząc mój niepokój. A no, nie byłem u siebie.

Ruda Helka mieszkała na piętce. Jej pokój — jak dekier drewnianego pudełka nakrywał sypialnię dziadków.

Szło się do Rudej Helki przez ogródek między grządkami cebuli i marchwi. Mówiło się „dzień dobry” pannie Elwirze, przemycano się pod oknami babki. Mimo swych osiemdziesięciu lat babka miała doskonały słuch. Kiedyś doleciało mnie jej zrzęczenie: „Znowu ten brzuchaty brodacz nachodzi naszą Helcię. Cholera z nim...” Więcej nie słyszałem.

Nie chciałem. Lectuchno naciskałem ciemnobordowe niegdys drzwi do sianki i lęz niż wymagały tego piszczące deski schodów, wspinałem się na piętka.

Nie musiałem czekać. Zwykle nie musiałem czekać. Na progu witała mnie Ruda Helka. Była moim przeciwnictwem. Tak szepiała, że wydawała się wysoka. Delikatną cerę przecinały niebieskie żyłki gęstniejące w drobna siatkę na skroni i koło nieokreślonej barwy oczu. Wyciągała do mnie ręce i zawsze jakby trochę nieśmiało, a ja pochylałem się, chwytając dziewczynę pod kolana, podnosiłem na wysokość piersi i wirując mówiłem, mówiłem...

Właściwie nie obchodziło mnie, że przede mną miała już niejednego kochanka, że w tydzień po śmierci męża przyszedł do niej jego przyjaciel. Przyznawała się do tego z pewną goryczą: tacy to przyjaciele. Nie umiała się bronić. Ciekawość ją siła miłości. Rozszerszonymi oczyma, drganiem warg walczyła, by z nagłym westchnieniem ulec i krzyknąć i przeklinać nieprzytomnie, odganiać.

Chwyciłem mojego złotego rudiuleca pod kolana, zawirowałem unosząc ją ku górze i wtedy zza niedalekiego żywoptotu zerknęły ku nam świecące oczka oburzonej starszej pani. Oburzenie było tak widoczne, że postawiłem Helkę na tapczanie twarzą ku oknu i nie namyślając się zapytałem.

— A ta dojrzała niczym owoc granatu piękność, czego chce od ciebie?

— Cicho, to najeżegodniejsza matrona ulicy. Ma dwie wielkie misje do spełnienia na tym padole. Wychować syna (właśnie po raz trzeci uciekł z domu, dotarł do Gdyni i za żadne skarby nie chciał wrócić do mamusi) i podzielić swój czas między przyjecia u znajomych, mocno zakrapiane alkoholem, a odwiedziny w kościele — ciągle tym samym: farnym. U nas — na Drewnianej mówi się, że tak jak teraz bez-

względnie i nieudanie strzeże syna przed każdą przyjemnością, po ślubie wepchnie się młodym do ich spraw małżeńskich i będzie pytał o wszystko i wszystko radzić. To będzie cud, jeśli syn nie wyrzeknie się tej wiecznej kurateli.

A tymczasem groźna mama pomachała w naszą stronę pięścią, coś tam krzyknęła i zakrywając krzewy zmikała za żywoptotem.

Wieczorem wyprowadziła mnie Ruda Helka ze swego domu. Błądziłmy po parku, gaskali labędzie, przedzielali pocatunkami wdrążający wśród drzew księżyc.

I kiedy tak siedzieliśmy na ławeczce zapiętym platyną księżycu, Ruda Helka zaczęła ginać, ginać. I zostałem sam na ławeczce. Czym prędzej zasloniłem dłonią oczy, skończyłem w stronę labedzi i sadzawki, pośliznąłem się poidłem w wodę. Pochylając się ku wodzie chlusałem w oczy. Zlane wodą otwariłem i poprzez rzęsy zobaczyłem włąd, delikatną Helkę. Ale po chwili ostentnie zmiknęła. Pochłonię ją mrok.

Nie była ciałem, była moją wyobraźnią. Codziennie teraz przychodziła na ławeczkę do parku. Zjawiała się Ruda Helka, wiodła mnie przez ulicę Drewnianą do swego poddasza.

Powoli budowałem całą ulicę. Zaludniała się ludźmi, którzy stawali się dla mnie najdrożsi na świecie. Choćby ogrodniczka — Stanisława, starsza pani minutami wypytująca klientów o amarylisy i draceny, a później wyjmująca z flakonów rubinowy goździk i z pięknym uśmiechem wręczająca go Rudej Helce.

— Twój jest ten kwiat, bądź sześciuła.

Polubiłem kioskarkę Marianę, która zorientowawszy się, że kupuję całą masę różnych czasopism, już z daleka witał mnie:

— Pan mecenas „Trybunkę” czy „Sztandar”. Aha, jedno i drugie. Dla szanownego pana hrabięgo odłożę „Przekrój” i „Politykę”. Sie wie czym kto żyje.

Energia, żywotność promieniowała z jego twarzy i uśmiechu.

— Szczęśliwy — myślałem. — Aż raz zawędrowaliśmy przed duży gmach. Ze schodów zsuwała się znajoma postać. Obie nogi pokręcone w jakiejś niesamowitej oflaczale wzięty, wlokły się za sunącym na rekach kioskarkę Marianę. Podbiegłem, podałem ręce. Marian wysłał mi najpiękniejszy ze swych uśmiechów. Uśmiech dobrego człowieka.

Albo trzy siostry medyczel. Każda inna. Jedna z zamiłowaniem empykowskimi. Pretensjonalna i najbrzydza. Druga ukochała jazz i nocne lokale. Najzdolniejsza, ale — obawiam się — skończy w hotelowej. Trzecia — ładniuchna, a jakże, nie gardząca wesołą zabawą, niemniej najpiękniejsza.

Trzy siostry. Każda inna. Siedzieliem w parku. Lał deszcz. Ruda Helka — usunęła mi się pod płaszcz i stamtąd wydmuchiwała raz po raz tęczę deszczu na swoje rzęsy. Objąłem Helkę mocno, bardzo mocno. Zamknąłem oczy i nagle napatykał obraz zebrania, na którym udowodniono mi, że dnia tego i tego w samej koszuli i w sweterem w ręku uciekałem z mieszkania Rudej Helki. Udowodniono mi... Zaraz, zaraz... jak to udowodniono.

To nie, że jeszcze wtedy nie było we mnie ulicy Drewnianej. Jeszcze jej nie zmieniawidziłem i nie pokochałem. Pewniki „przyjaciół” były fałszywe.

Dla czego miałbym uciekać. Przecież Ruda Helka była wdówką. Nie mógł wrócić, jak to się zwykle zdarza — mał. Więc dlaczego uciekałem.

— Helka, przypomnij sobie. Dla czego uciekałem. Może coś się stało, kogoś w sąsiedztwie okradziono. Bzdeta. Nie uciekałbym. Staruszkowie, Elwira, dewotkarska mamusia, cała ulica znała mnie. Byłem brodatym, grubiułkim chłopcem Rudej Helki.

A może popetniono morderstwo. Może uśmieknęta melancholijna Elwira dopomogła staruszkowi w wywedrowaniu na tamten świat. Wszystkie możliwe. Może Elwira, stara panna, niezauważalna jak jej czarny kot, zatekniła za górami, morzami. Może otruta staruszkowa, a ja to widziałem i zajęty panicznym strachem na wpół rozebrany uciekałem z ulicy Drewnianej?

Nie, to nie przekonuje. Nie przychodził do mnie pan milicjant, rewirował tamtej okolicy. Nie wypytował o dziadków, Elwirę, Rudą Helkę.

Nikt mi nie wspominał o morderstwie. Więc czego chcecie?

Nie ma ulicy Drewnianej. Nigdy tam nie byłem. Nie ma Rudej Helki i dewotki mamusie.

Nie umawiajcie mi spacerów nocnych, rozmów z mięszkańcami. Uciekam od was. Uciekam z waszej ulicy. Ona jest we mnie — moja.

Największe w Polsce muzeum archeologiczne

Perła renesansowej architektury stolicy Wielkopolski, dzwignięty z ruin wojennych pałac Górków, przeżywa drugą młodość. Do odbudowywanego pieczołowicie przez wiele lat pałacu wprowadziło się obecnie poznańskie Muzeum Archeologiczne.

Dzięki doskonałym warunkom ekspozycyjnym, przygotowanym przez budowniczych we współpracy z kierownictwem muzeum — poznańska placówka archeologiczna będzie największym i najbardziej nowoczesnym wyposażonym muzeum w kraju. Kubatura sal i pomieszczeń muzeum wynosi 27 tys. m. Zespół naukowców poznańskich pod kierownictwem dyrektora placówki, doc. dr Bogdana Kostrzewskiego, wspólnie z plastykami, przygotowali scenariusz stałej ekspozycji. Obrazuje ona genezę ludów słowiańskich, proces formowania się państw plemiennych i państwa polskiego.

Dwie sale budynku wyodrębniono na wystawy okresowe. Nowa placówka dysponuje też salą kinową, przeznaczoną do wyświetlania fil-

mów oświatowych oraz salą wykładową na 180 miejsc.

Warto podkreślić, że prawdziwą ozdobą pałacu Górków jest wspinały wewnętrzny dziedziniec arkadowy. Kierownictwo muzeum zamierza organizować tu jeszcze w br. plenerowe widowiska dramatyczne i historyczne. Dziedziniec pomieści może kilkaset osób.

(Kt-PAP)

Dar Chagalla

79-letni Marc Chagall podarował Francji 60 swych najlepszych obrazów. Uroczystość odbyła się w prefekturze w Nicei, gdzie artysta oraz jego żona podpisali akt darowizny, wręczając go ministrowi kultury — André Malraux. Obrazy te znajdują się w muzeum dzieł tego artysty, które zostanie wzniesione w Nicei w pobliżu Muzeum Matisse'a.

(Kt-PAP)

Na naszych ekranach

Marcello Mastroianni

— „Zostałem aktorem, bo lubiłem płakać przed lustrem. W czasie lekcji katechizmu robiliśmy przedstawienia, wtedy czułem się szczęśliwy. Potem byłem zatrudniony w urzędzie drogowym, później w przedsiębiorstwie wynajmu filmów. Ale bez przerwy miałem ochotę grać”.

Tak mówi o sobie, o przyczynach wyboru życiowej drogi Marcello Mastroianni, bez wątpliwości najpopu-



larniejszy dziś aktor filmu włoskiego, jeden z najbardziej znanych aktorów filmowych świata. Nim jednak zrealizował swoje marzenia, musiał pokonać niemało przeszkód. Ojciec, ubogi stolarz z Fontana Liri, chciał, by syn mocniej niż on sam „stał na nogach”, by zdobył zawód, który zapewni mu spokojną przyszłość. Wybrał zatem dla niego studia ekonomiczne i architektury, po ich ukończeniu Marcello miał zostać rzeczoznawcą budowlanym.

Młody student, który już w szkole podstawowej stawiał pierwsze kroki na scenie, w wolnych chwilach występował w uniwersyteckim zespole teatralnym. W 1947 roku następuje moment, który decyduje o jego dalszych losach. Znany reżyser filmowy i teatralny Luchino Visconti, zobaczywszy go na scenie owego studenckiego teatru, dochodzi do przekonania, że ma przed sobą talent, którym trzeba się zająć. Po spektaklu proponuje Mastroianniemu studia aktorskie i pracę w prowadzonym przez siebie teatrze.

Marcello wyraża zgodę. Rozpoczyna się okres, w którym musi wyżyć wszystkie siły. Pozbawiony pomocy rodziny po porzuceniu uczelni, zarabia na życie pracą fizyczną jako robotnik, a jednocześnie uczy się aktorstwa.

Już pierwsze występy na scenie teatru Viscontiego przynoszą mu sukces. Gra w sztukach Szekspira „Troilus i Cressida” oraz „Jak wam się podoba” i w „Orestesie” Alfieriego, zyskując uznanie krytyki. W roku 1951 entuzjazm wywołuje jego rola w „Tramwaju zwanym pożądaniem” Tennessee Williama oraz kreacja w „Millera, Mastroianni ugruntowuje swoją pozycję w teatrze włoskim. Gra w sztukach Czechowa i Goldoni, zdobywa brawa widowni i pochwały krytyków za oszczędną, realistyczną, dojrzałą i nacechowaną naturalnością grę.

W filmie wystąpił Mastroianni po raz pierwszy w roku 1947 w „Nędznikach” według Wiktora Hugo realizowanych przez Riccardo Fredę. Rólka, jaką tam grał była jednak tak maleńka, że aktor nie liczył jej w swym dorobku, określając jako swój ekranowy debiut film „Sierpniowa niedziela”, w którym grał młodego policjanta ze służby ruchu. Potem były „Dziewczęta z Placu Hiszpańskiego”, „Ulica ubogich kochanków”, „Jutro będzie za późno”, „Bigamista”, „Walizka snów” i wiele innych filmów, w których Mastroianni grał role młodych chłopców z ludu. Grał typy nieco śmieszne, a zarazem sentymentalne, idealnych kochanków i mężów dziewcząt z robotniczych i mieszczańskich rodzin.

Mówiło się, że sukcesy w tych rolach przychodziły aktorowi łatwo, ponieważ grał niemal samego siebie, bohatera, wywodzącego się z tego samego co on środowiska. Że nie potrafiłby być równie przekonujący, wcielając się w inne postaci. On sam ma na ten temat swojej osobowości inne zdanie.

— „Zawsze w życiu staję się trochę tym, kogo aktualnie gram. Na początku grywałem bohaterów nieskomplikowanych, komediowych — i chyba taki też byłem w życiu. Teraz dają mi role ludzi bardziej skomplikowanych. Gram intelektualistów, synów bogatych rodzin... I sam czuję się też bardziej skomplikowany” — mówi i można mu wierzyć. Przykłady wpływu roli na aktora, przemianowania pewnych cech i właściwości granej postaci znane są od dawna.

Pierwszym filmowym sukcesem Mastroianniego była rola w „Białych nocach” L. Viscontiego (wg Dostojewskiego), gdzie był partnerem Marii Schell. Zdobył wówczas najwyższe włoskie wyróżnienie dla aktora filmowego — Srebrną Wstęgę za najlepszą rolę 1957 roku. I od tam czasu często się Marcello gra u znakomitych reżyserów, w filmach, które uzyskują światowy rozgłos. „Słodkie życie” Felliniego, „Noc Antonioniego”, „Piękny Antonio” Bolognini, „Rozwód po włosku” Germiego, „Życie prywatne” Malle'a, „Casanova 70” Monicelli, „Małżeństwo po włosku” de Sici, „Osiem i pół” Felliniego — oto część tylko jego ostatnich obrazów, w których stworzył różnorodne, wspaniałe kreacje. Na ich temat można by napisać całe studium i nikt nie odważyłby się twierdzić, że postacie, jakie gra obecnie Mastroianni są identyczne z jego własną osobowością i charakterem. Ten ekranowy wódziciel i podrywacz na wielką skalę, w życiu prywatnym nie ma na swoim koncie żadnego skandalu, w jego sposobie bycia nie ma nic z gwiazdorstwa. Mimo że przed kamerą występuje z najpiękniejszymi dziewczętami, jakie mają do dyspozycji producenci, nikt nie słyszał i nie pisał o jakimś flirtcie czy choćby reklamowych trikach, z których słynie np. film amerykański. Nawet Brigitte Bardot, która miała zwyczaj romansować z każdym ze swych filmowych partnerów, grając z Marcello w „Życiu prywatnym” — spasowała. Po pracy aktor najchętniej przebywa w domu z żoną Florą i kilkunastoletnią córką Barbarą. Jedynie mecze piłkarskie wyciągają go na stadion sportowy, gdzie z iście włoskim temperamentem kibicuje swojej drużynie.

(to. sz.)



Pomorski Nikifor

Nazywa się Teodor Centlewski, ma 73 lata, jest szewcem w miasteczku Wąbrzeźno w woj. bydgoskim, a zaczął rysować w 1858 r. Posługuje się kredkami. „Odkryto” go niedawno dzięki temu, że zaczął wystawiać

obrazki w oknie swego szewskiego warsztadku, nie po to, by je sprzedawać, ale po prostu żeby się komuś podobały. Nadzieje nie zawiodły — rysunki Centlewskiego znalazły wielkie uznanie w oczach wędrujących przez Wąbrzeźno zawodowych artystów i znawców, czego dowodem mogła być choćby ostatnio wystawa sztuki Centlewskiego w bydgoskim klubie „Jupiter”.

Jak sam powiedział: „nie można się przecież zajmować jednym, bo to ogłupia” — i z tego właśnie powodu zaczął pokrywać kartki papieru interesującymi tak w formie, jak i w treści rysunkami. Nie czerpie ich z natury, ale z pamięci. Źródłem poetyckiej tematyki rysunków szewca z Wąbrzeźna są najczęściej fotografie z podręczników szkolnych i czasopism ilustrowanych. W ten sposób Centlewski „ujrzał”, a potem przetworzył na swój sposób nigdy nie widziane morze, góry czy egzotyczne zwierzęta.

Świat rzeczy i zjawisk sztuki Centlewskiego — wielkich żaglowców na maleńkim stawie, krajobrazów, gdzie plany dalsze są większe od pierwszych, ptaków, osadzonych hieratycznie na gałęziach — przedstawiony jest bajecznie kolorowo. Niektóre z tych oryginalnych prac zdradzają wpływ ludowej wycinanki.

Nikiforowi i Ociepcy przybył godny konkurent.

O kulturę powszechną codzienną

(Ciąga dalszy ze str. 3)

kultury; analizę społecznego odbioru i nowych form docierania z kulturą w s z e d z i e.

Bo nie to jest ważne, że Dejmek po raz wtóry zajmie czołową pozycję w Theatre des Nations w Paryżu, ale ważne jest codzienne „proszę — dziękuję”, na które bywamy narażeni zawsze. Zbyt mało doceniamy proste rzeczy, elementarne pojęcia, które składają się na obraz społeczeństwa par excellence kulturalnego. Zbyt często osacza nas chamstwo na co dzień i wytworza w nas niezdrowy nawyk wynoszenia pod niebiosa uczciwego postępowania, niestety niepowodzonego np. pielęgniarce, ekspedientek czy konduktorów, którzy w masie przyzwyczajają nas do nieaktualności i gruboskórności.

K. S.

Konserwujemy ruiny...

Akcja ratowania zabytkowych obiektów w naszym kraju obejmuje również ruiny starych pałaców, zamków i obiektów sakralnych, stanowiących świadectwo dawnej świetności polskiej architektury. Liczne prace tego rodzaju prowadzi się w rejonie Polski południowej, gdzie

jest dużo starych, zburzonych lub spalonych zabytkowych obiektów.

W ruinach zamku w Lipowcu koło Chranowa zbudowano wielki namiot z tworzywa sztucznego, którym przykryto najcenniejsze partie zabytkowych murów. Ten oryginalny dach, którego powierzchnia wynosi ok. 70 m kw., zabezpieczy zachowane fragmenty przed szkodliwym działaniem deszczu i śniegu.

Zaawansowane są także prace przy zabezpieczeniu słynnego zamku Bonarów w Ogrodzieńcu, który jest pierwszym z serii zamków przeznaczonych do konserwacji, położonych na tzw. szlaku Orlich Gniazd.

Opieką krakowskich pracowników konserwacji zabytków objęto ostatnio również inne zabytki, m. in. ruiny zamku w Tenczyńsku, których stan od wielu lat budził niepokój historyków sztuki i konserwatorów, podziemia klasztoru tyńckiego (kilka lat temu znaleziono tam dużej wartości złote przedmioty z przełomu X i XI wieku), ruiny zamków w Siewierzu, Odrzykoniu, Ujeździe, dwór w Wieruszycach.

Jak podkreślił dyrektor krakowskich PKZ, mgr inż. Tadeusz Kałkowski — konserwacja ruin dawnych pałaców i zamków nie ma na celu ich rekonstrukcji, a jedynie zabezpieczenie istniejącego stanu przed dalszą dewastacją oraz odpowiednie zagospodarowanie najbliższego danemu zabytkowi terenu. Wiele z tych prac ma charakter prawdziwie eksperymentalny.

KT-PAP

Z ŻYCIA POLONII

CZECHOSŁOWACJA

W konkursie czytelnictwa zorganizowanym przez Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno - Oświatowego w Czechosłowacji wzięło udział 1700 uczniów polskich, z czego w powiecie frydecko - miśteckim 856, w karwińskim — 844. Wśród najlepszych znawców książki polskiej wylosowano nagrody.

W. BRYTANIA

Jedną z czołowych firm wydawniczych angielskich wydała przekład „Pana Tadeusza” w tłumaczeniu angielskim Kennetha Mackenzie, w swej bibliotece specjalnej, która obchodzi w tym roku 60-lecie działalności. W ten sposób „Pan Tadeusz” znajduje się na półkach wielkiej biblioteki klasycznych, obejmujących najwspanialsze arcydzieła literatury światowej.

Wybrał L. R.

„Zofia” — film radziecko-polski

W okolicach Grodna reżyser Michał Bogin, autor świetnej średniometrażówki „Dwoje” nagrodzonej na szesnastym festiwalu w Moskwie, rozpoczął zdjęcia do filmu „Zofia”. Akcja opowiadania rozgrywa się w okresie wojny, w Polsce, a jego bohaterami są dwaj młodzi oficerowie radzieccy, zakochani w polskiej dziewczynie.

Film powstaje przy współpracy z

polską kinematografią. Role tytułową powierzył M. Bogin Polii Rakis. Po lotewskim „Nocturnie” jest to drugi radziecki film tej aktorki. Oprócz niej reżyser zaangażował z polskich aktorów Wiesławę Mazurkiewicz, Barbarę Bargielowską i Zygmunta Zintla. Operatorem jest Jerzy Lipman, starszym asystentem reżysera — Witold Sobociński, a scenografem — Roman Wołyniec.



Michał Kaseja: Razem ze Swierczewskim. W-wa 1966 MON, s. 328, cena zł 22. Wspomnienia o legendarnym „Walterze” byłego oficera sztabu 2 armii WP. Książka obejmuje okres od formowania się 2 armii, aż do zakończenia działań wojennych. Postać generała pokazana od strony najmniej znanej — od strony spraw codziennych i życia prywatnego. Liczne ilustracje.

Kryształowy szczeniak Wenus. Opowiadania amerykańskie. Wybór J. Stawińskiego. W-wa 1966 Iskry, s. 349, cena zł 17. Tom zawiera 12 opowiadań, pióra 12 różnych autorów. Wybór ten pomyślany jest jako przekrój najnowszej amerykańskiej nowelistyki fantastyczno-naukowej.

Wacław Barcikowski: Konflikty popędowe, indywidualne i społeczne. W-wa 1966 KiW, s. 353, cena zł 66. Obszerna praca badacza próba materialistycznego wyjaśnienia takich zjawisk psychicznych, jak konflikty popędowe. Autor stara się ukazać nie tylko sam charakter, ale przyczyny i skutki konfliktów popędowych w stosunkach społecznych.

Janina Macierewska: Każdy idzie swoją drogą. W-wa 1966 Czytelnik, s. 344, cena zł 20. Tom zbeletryzowanych wspomnień ukazujących Zyrardów lat międzywojennych. Autorka poświęca wiele miejsca sprawom obyczajowym oraz społecznym i politycznym okresu.

Witold Szołginia: Życie miast. W-wa 1966 Iskry, s. 243, cena zł 60. Autor — architekt i urbanista — w popularnym sposobie pisze o projektowaniu dużych zespołów miejskich. Opowiada o funkcjonowaniu organizmu miasta i podaje szereg ciekawych rozwiązań architektonicznych w różnych krajach. Liczne ilustracje.

Mikołaj Kóźmin: Koło wróżebne króla Salomona. Kartki z przeszłości. Przel. Jerzy Litwinuk. W-wa 1966 PIW, s. 197, cena zł 15.

Wspomnienia znanego grafika i ilustratora radzieckiego, będące jego debiutem książkowym. Napisane z niewątpliwym pisarskim talentem, pełne bezpośledniości i humoru, ukazują dzieciństwo i młodość 70-letniego już autora.

Helena Balicka-Kozłowska: Konstanty Krzeczkowski, badacz życia społecznego. W-wa 1966 KiW, s. 242, cena zł 45. Sylwetkę tego wybitnego badacza i podaje szereg ciekawych autorstwa na bogatym tle historycznym, w którym zaakcentowane są wydarzenia okresu rewolucji 1905—1907 oraz działalność PPS-rewolucyj.

Tadeusz Żeleński (Boy): Okno na życie. Ludzie i bydlika. Wrażenia teatralne. W-wa 1966 PIW, s. 780, cena zł 40. Kolejny, XXV tom pism Boy'a wydanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Zawiera recenzje teatralne z lat trzydziestych. Liczne ilustracje.

Stanisław Bernat: I żółwie łapie się na laso. Gdynia 1966 Wyd. Morskie, s. 63, cena zł 4.

Ciekawa, bogato ilustrowana książeczka, w sposób popularny podająca „wszystko o żółwiu”. Przede wszystkim dla młodzieży.

Jerzy Pertek: Wśród lodów wielkiej drogi. Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 62, cena zł 4.

Jeszcze jeden tomik z serii „Miniatury morskie”. Ukazuje akcję ratowania rozbitków ze statku zniszczonego przez lody podczas śmiałej próby przebycia Wielkiej Drogi Północnej, prowadzącej wzdłuż północnych wybrzeży Syberii.

Aleksander Polepszuk: Znak z kosmosu. Przel. Zygmunt Burakowski. W-wa 1966 Iskry, s. 276, cena zł 12.

Nowa powieść z serii „Fantastyka — Przygoda”. Opowiada ona o radzieckich kosmonautach i uczonych, którzy pracują nad nowym typem pojazdu kosmicznego, ukazuje nie tylko przygody przytwarzane w kosmosie i na Księżycu.

J. Tkaczenko, P. Kostikow: Pamięć serca. W-wa 1966 KiW, s. 254, cena zł 15.

Reportaże zebrane w tej książce są z plonem pobytu w Polsce autorów — z których jeden jest redaktorem naczelnym, a drugi zastępcą redaktora „Kraju Rad”. Jeden z zamieszczonych tu utworów związany jest z naszym wojevodztwem („Złoto Tarnobrzega”) — wszystkie cechuje uczucie przyjaźni, jakim darzą nasz kraj autorzy.